

LIZ FIELDING

**Ideał
bez skazy**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To była kompletna głupota, Nash Gallagher wiedział o tym doskonale. I wcale nie zamierzał zostać tu dłużej, niż to konieczne. Ot, po prostu, przejdzie się jeszcze raz po terenie, ostatni raz rzuci okiem na ogród i niech buldożery robią swoje.

Ostatecznie ogrody nie są czymś wiecznym. Koniec. Kropka. Powinien był o tym pamiętać.

Tylko skąd, do diabła, ten tępy ból w okolicy serca? Był pewien, że pożegnanie z ogrodem dziadka będzie zwykłą formalnością. A jednak... Cóż, widocznie starszek znał go lepiej, niż mogło by się wydawać...

Zahaczył rękawem swetra o gałąź, wyciągając ze ściegu kilka długich, kolorowych nitek. Zaklął pod nosem. Na trawę spadło parę dojrzałych brzoskwiń.

Drzewko brzoskwiniowe...

Ukłucie w sercu odezwało się ponownie.

Pamiętał, jak w dzieciństwie przybiegał tu co rano i sprawdzał, czy owoce nadają się już do jedzenia. Senne bzyczenie pszczoł, słodki brzoskwiniowy zapach i moment, w którym zanurzał zęby w delikatnym, soczystym miąższu...

Wspomnienie jak żywe stanęło mu przed oczami i nie-

mai poczuł, jak po policzkach spływa lepki, aromatyczny sok. Podniósł rękę, by otrzeć twarz i po chwili, zły na samego siebie, ruszył do przodu.

- Jesteś kompletnym idiotą, stary! - odezwał się cicho.
- To kwestia dwóch, najwyżej trzech tygodni, a potem po ogrodzie pozostanie tylko wspomnienie. Taka jest kolej rzeczy.

Całkowicie zajęty swoimi myślami, ruszył dalej, w stronę drewnianych altanek stojących w głębi ogrodu. Kilka małych, burych kociaków rozpiezchło się na wszystkie strony. Ich matka, duża leniwa kocica, odprowadziła go nienawistnym spojrzeniem.

Nagle usłyszał świst. Odwrócił głowę, kiedy raptem coś dużego i intensywnie czerwonego przeleciało koło jego lewego ucha, z impetem trafiając w okno altanki. Szyba pękła z trzaskiem.

- A to co znowu? - syknął z wściekłością. Czy ten cholerny dzień naprawdę nigdy się nie skończy?!

Ostrożnie, uważając, by się nie pokaleczyć, wsadził głowę przez drewnianą framugę okna. Minęła chwila, zanim zrozumiał, co widzi. Wśród kawałków rozbitej szyby leżała sobie spokojnie duża, kolorowa piłka.

Schylił się, by po nią sięgnąć. Przez chwilę przyglądał się jej bezradnie, jakby ważąc w rękach ciężar i próbując jednocześnie znaleźć w myślach kilka dosadnych epitetów pod adresem jej właściciela. Gdyby tylko dorwał go teraz w swoje ręce!

- Mamo, Clover znowu przerzuciła piłkę przez ogrodzenie! - Do uszu Stacey dobiegło rozpaczliwe wołanie jej młodszej córki.

Przytrzymując jedną ręką klamkę świeżo pomalowanych drzwi, drugą zaś śrubokręt, westchnęła z rezygnacją.

- Powiedz jej, że musi chwilę poczekać! - odkrzyknęła.

Konieczność dokonania jakichkolwiek prac porządkowych lub remontowych zawsze doprowadzała ją do szewskiej pasji. Co innego wypielić wszystkie grządki w ogródku czy upiec pyszne kruche ciasto z konfiturą brzoskwiniową... O tak, w tym była naprawdę dobra. Ale ilekroć sięgała po młotek, śrubokręt czy inne, równie barbarzyńskie narzędzie, okazywało się, że ma co prawda dwie ręce, ale niestety, obie lewe. Zdaje się, że i tym razem więcej farby miała we włosach i na ubraniu, niż było na jej drzwiach.

- Mamusiu..!

- Co tym razem?! - Śrubokręt wyśliznął się z jej ręki i zatoczywszy szeroki łuk, z hukiem wylądował pod kre-densem z rodową porcelaną. Stacey zakłęta w duchu.

Sięgając do kieszeni po drugi, ostatni już śrubokręt, przypomniała sobie wołanie córki.

- O co chodzi, Rosie?

- Właściwie to już nic... -I za chwilę: - Clover mówi, że nie ma problemu i że sama wyciągnie piłkę.

- W porządku... - Odkrzyknęła, próbując równocześnie skupić się na przykręceniu jednej z wiecznie wypadają-

jących z zamka śrubek. Dopiero po chwili dotarł do niej sens usłyszanych słów. - Co takiego!?

Gwałtownie odwróciła się w stronę obu córek z wyrazem najwyższej dezaprobaty w oczach. Śrubokręt zazgrzytał nieprzyjemnie i na świeżo pomalowanej powierzchni pojawiła się długa rysa.

Przez moment stała, w osłupieniu przyglądając się drzwiom i nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Dopiero po chwili z jej ust posypała się cicha wiązanka dosadnych epitetów, których z pewnością jej córki nie powinny słuchać.

Poczuła, że chce jej się wyć. Ale na taki luksus nie mogła sobie przecież pozwolić.

Odłożyła śrubokręt na miejsce, zamknęła skrzynkę na narzędzia i wciągnąwszy głęboko powietrze, wyszła do ogrodu.

To jeszcze nie koniec świata, powtarzała sobie w duchu. Któregoś dnia uda jej się przecież skończyć ten cholerny remont! Na pewno uda jej się w końcu poprzykręcać wszystkie głupie śrubki, przykleić porządnie tapetę i dokończyć malowanie ścian. Uda się, bo przecież nie ma innego wyjścia.

Mikę... Och, ten Mikę... Dlaczego nigdy nie potrafił skończyć tego, co zaczął? Dlaczego zawsze wszystko musiało czekać do jutra?

- Mamusiu, Clover naprawdę tam idzie! - Wołanie młodszej z córek wyrwało ją z zamyślenia. Przyspieszyła kroku.

Clover, jej przemądrzała dziewięcioletnia córka, wisiała właśnie na jednej z gałęzi niedużej jabłonki, rosnącej na skraju sadu. Balansując niebezpiecznie nad ziemią, próbowała jednocześnie wspiąć się na dość wysoki, ceglany mur, który oddzielał ich posesję od ogrodu po drugiej stronie.

- Clover O'Neill, proszę w tej chwili zejść na dół!

- Stacey zawołała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Dziewczynka rzuciła nienawistne spojrzenie w kierunku swojej młodszej siostry i mamrocząc coś pod nosem, z ociąganiem zeszła z drzewa.

- Co ty wyprawiasz? - Stacey chwyciła córkę za rękę.

- Powiedziałaś, żeby ci nie przeszkadzać - roztropnie odpowiedziała Clover. Zdobyłaby prawdopodobnie złoty medal, gdyby przyznawano takowe ludziom obdarzonym wyjątkowym sprytem i refleksem.

- A pomyślałaś choć przez chwilę, ile przysporzyłaby mi kłopotu twoja złamana noga albo ręka, hm? I zapamiętaj sobie raz na zawsze: nigdy, przenigdy nie wolno ci wspinąć się na ten mur. Ani na żaden inny - dodała dla pewności, widząc, jak Clover ostentacyjnie przewraca oczyma.

- Więc jak odzyskamy teraz naszą piłkę? - odezwała się milcząca dotąd Rosie.

- Już byśmy ją miały, gdyby nie twój długi jęzor - syknęła Clover przez zaciśnięte zęby.

- Dosyć tego! - Stacey poczuła, że jeszcze chwila, a dziewczynki się pobiją. - Dostaniecie swoją piłkę. Je-

stem pewna, że ktoś ją zauważy i odrzuci z powrotem. Tak jak ostatnio.

Tak, z pewnością znów się uda, dodała w myślach. Będzie musiała wdrapać się na mur i sama odszukać tę cholerną piłkę. Gdy tylko dziewczynki zajmą się czymś innym...

- To znaczy, że nie odzyskamy jej nigdy! - W głosie Rosie słychać było prawdziwą rozpacz. - Przecież nikt nie odwiedza tego ogrodu od czasu, jak go zamknięto.

Niestety, była to prawda. Odkąd jego właściciel, stary Archie Baldwin, podupadł na zdrowiu, ogród z roku na rok popadał w coraz większą ruinę. Aż w końcu postanowiono go zamknąć.

A właśnie, powinna odwiedzić staruszka i przekazać mu najświeższe ploteczki z miasteczka. Przynajmniej tyle może dla niego zrobić po wszystkim, co mu zawdzięcza. A przy okazji spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej o dalszych losach ogrodu.

Oczami wyobraźni już widziała ogłoszenie, jakie pewnie pojawi się w miejscowej gazecie, gdy w końcu któregoś dnia postanowi się stąd wynieść:

Przytulny jednorodzinny dom w stylu wiktoriańskim, otoczony zielenią, z możliwością zagospodarowania przyległych terenów. Jedyne w swoim rodzaju dziko rosnący park za oknami.

Brzmi całkiem nieźle, uśmiechnęła się w duchu. I właściwie wszystko to byłoby nawet prawdą, gdyby nie jeden mały szkopał. Dom był kompletną ruiną. Wymagał remontu, i to natychmiast.

- Mamo...

- Zdaje się, że to twoja wina, Clover. - Stacey spojrziała na córkę z wyrzutem. - Gdybyś tak mocno nie kopnęła tej piłki...

- Trudno grać w piłkę, nie kopiąc jej - weszła jej w słowo dziewczynka. I znacząco dodała: - Chodź, Rosie, pójdziemy za dom i tam poczekamy na piłkę. Przecież nie wolno nam patrzeć, jak mama przeskakuje ten „strasznie stary i niebezpieczny mur”.

- Clover O'Neill, dość tego!

- Niestety, mamo, widziałam cię ostatnim razem.

- Tak? - Stacey usiłowała zachować resztki rodzicielskiej godności. - A nie powinnaś była już o tej porze leżeć w łóżku?

- Widziałam cię z okna sypialni - odrzekła Clover, z druzgocącą wręcz logiką, jak zwykle wykazując się szybkim refleksem.

Stacey opuściła ramiona. Samotne wychowywanie dwójki żywych i trochę pyskatek dziewczynek zaczynało powoli przerastać jej siły.

- W porządku - skwitowała beznamiętnym głosem. - Ale zapamiętajcie sobie: jeśli choć raz przyłapię was na robieniu tego, co właśnie za chwilę sama zrobię, to gorzko tego pożałujecie. Czy to jasne?

Obie dziewczynki energicznie pokiwały głowami.

- Lepiej, żebyście dotrzymały słowa... - Stacey odsunęła jedną z doniczek i wspierając się na obu łokciach, wdrapała się na mur.

Wydawało się, że ogród zdziczał jeszcze bardziej od czasu, kiedy była tu po raz ostatni. Bujna trawa, uginające się pod ciężarem owoców drzewka brzoskwińowe, potłuczone szyby w drewnianych altankach...

Przed oczami ponownie stanął jej stary Archie. Dobrze, że przynajmniej on nie musi tego oglądać.

Stacey odwróciła się do córek.

- Nie ruszajcie się stąd ani na krok, rozumiano? - I nie czekając na odpowiedź, zeskoczyła na dół.

Piłka była duża i czerwona, zatem znalezienie jej nie powinno stanowić większego problemu.

Stacey rozejrzała się wkoło. Jej wzrok zatrzymał się na kilku grządkach dorodnych peonii. Zrobiło się jej ich żal. Delikatnie dotknęła ręką mięciutkich, różowych płatków.

Była podobna do tych kwiatów. W miejscach, w których czuła się dobrze, zapuszczała długie, mocne korzenie. Nie lubiła przesadzania. Ale, tak jak te peonie, nie miała wyboru.

Jakby przypominając sobie nagle, po co właściwie się tu znalazła, szybkim spojrzeniem omiotła okolicę. Nagle jej oczy zaślniły jakimś niecodziennym blaskiem.

Po jej lewej ręce, zaledwie jakieś kilkanaście metrów od miejsca, w którym stała, skapane w słońcu, dojrzewały duże, czerwone i z pewnością bardzo soczyste truskawki. Nie namyślając się wiele, Stacey ruszyła w ich kierunku.

Nash rozejrzył się wokół, bezradnie obrócił piłkę kilkakrotnie w dłoniach. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Postanowił sprawdzić, co się dzieje. Po południowej stronie ogrodu, na starym, ceglany murze, dostrzegł postać dziecka, kilkunastoletniej może dziewczynki. Zanim jednak zdążył zareagować, postać znikła. Ruszył w tym kierunku.

Nie uszedł nawet połowy drogi, gdy na murze pojawiła się druga postać. Obcisła bluzeczka, krótkie, dzinsowe spodni, długie nogi... Zdaje się, że tym razem dziewczynka była nieco starsza i... olśniewająco piękna. Przykucnął, nie chcąc jej spłoszyć.

Prawdziwym grzechem byłoby je tak tutaj zostawić, przekonywała w myślach samą siebie Stacey. Kucnęła przy pierwszej z brzegu grządce, sięgając jednocześnie po największą z truskawek.

Wspaniałe! Smakowała słodki, soczysty miąższ, czując, jak po brodzie ścieka jej lepka strużka. Otarła twarz wierzchem dłoni.

A może by tak przenieść parę sadzonek, zanim pojawią się tu buldożery? W przyszłym roku miałybyśmy swoje własne truskawki, rozmarzyła się. Tępe ukłucie w okolicach serca przywołało ją do porządku.

W przyszłym roku? Nie będzie nas już tutaj, uświadomiła sobie, wyciągając rękę po kolejne owoce.

To samo, co prawda, powtarzała sobie niezmiennie od kilku ładnych lat, ale zdaje się, że tym razem rzeczywiście nie będzie miała wyboru.

A to co znowu? Jakiś nieoczekiwany szmer za plecami przykuł jej uwagę. Ręka zawisła w połowie drogi między grządką a ustami.

Stacey odwróciła głowę.

Jej wzrok natrafił na parę butów, z których wyrastały dwie, całkiem zgrabne, umięśnione męskie nogi w krótkich spodenkach. Spojrzała wyżej.

- W czym mogę pomóc? - Nieznajomy miał przyjemny, niski głos.

Stacey zamarła. Nie dość, że przyłapano ją właśnie w miejscu, w którym nie powinno jej być, to w dodatku przy grządce cudzych truskawek. Zdaje się, że trudno będzie wmówić komukolwiek, że właśnie zajęta była ich pieleniem. Jak pech, to pech...

- Mamooo..! - powietrze przeszył cienki głosik. - Masz ją?!

Zgodnie z obietnicą, Clover trzymała się z dala od muru. Dla odmiany zwisała teraz z gałęzi rosnącego przy domu drzewa.

- Złaż stamtąd natychmiast, słyszysz!?! - krzyknęła Stacey, zapominając przez chwilę o niezręcznej sytuacji, w której się znalazła.

Zrobiła kilka kroków, lecz po chwili ponownie odwróciła głowę w kierunku nieznanego.

Para zdziwionych, niebieskich oczu wpatrywała się w nią uważnie.

Dla takich właśnie oczu, kiedyś, dawno temu, zapomniała o bożym świecie i w wieku osiemnastu lat posta-

nowiła wyjść za męż. Rok później została matką i odtąd, zamiast zgłębiać tajniki ekonomii w dziedzinie uprawy roślin na zajęciach w szkole, zajęła się uprawą na swoje własne potrzeby.

- Czy może tego pani szuka? - zapytał mężczyzna, bawiąc się jakby od niechcienia piłką. - Byłem właśnie w altance, kiedy to wpadło do środka.

- Słucham? - Stacey cały wysiłek wkładała teraz w opanowanie nerwowego drżenia kolan. - A taak...

- Niezły rzut, jak na dziewczynkę - skwitował, mierząc wzrokiem odległość od muru do okien altanki, po czym, zmrużywszy oczy, zawołał w stronę Clover: - Twój tata jest pewnie zawodowym trenerem, mam rację?

- Tatuś jest już w niebie! - odkrzyknęła dziewczynka z typową dla dziecka bezpośredniością.

- Clover, jeśli natychmiast stamtąd nie zejdziesz - zaczęła Stacey, z najwyższym trudem starając się oderwać wzrok od potężnych, świetnie umięśnionych męskich ramion - to możesz się pożegnać z piłką!

Znowu przypomniał się jej Mike.

Głowa Clover zniknęła za ogrodzeniem.

- Czy szkody były duże? - Ponieważ udało się jej pozbyć kłopotliwego świadka krępującej rozmowy, Stacey nieco odzyskała wigor.

- Szkody?

- Mam na myśli altankę.

- Kilka rozbitych szyb więcej nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia. - Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Niestety, chyba ma pan rację. - Nie potrafiła ode-
rwać wzroku od jego ust. - Mam nadzieję, że panu nic się
nie stało?

Nie musiał odpowiadać, widziała przecież sama. Zre-
szta, jego ciało było właściwie wzorem doskonałości. No,
może z jedną skazą w postaci niewielkiej blizny na szyi.

Ostre, niemal natrętne promienie słońca przedzierały
się przez korony drzew, oblewając złotym blaskiem włosy
mężczyzny.

Jakby sama nie zdając sobie sprawy z tego, co robi,
podeszła i dotknęła dłonią jego twarzy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Stacey poczuła, jak od czubka głowy aż po koniuszki palców oblewają zimny pot. Co to było? Nie mogła uwierzyć, że naprawdę zrobiła coś tak szalonego. A może po prostu śniła na jawie?

Nieznajomy zbliżył się do niej i delikatnym ruchem chwycił jej nadgarstek. Nie znalazła w sobie dość odwagi, by spojrzeć mężczyźnie w oczy.

- Dziękuję - powiedziała, mając na myśli piłkę. Jej głos drżał równie silnie, jak reszta ciała.

- To raczej ja powinienem podziękować - skwitował zagadkowo.

Na swoim nadgarstku nadal czuła dotyk jego smukłych, długich palców. Delikatnie ścisnął drobne kosteczki jej dłoni, jakby starając się zapamiętać ich kształt. Jego dotyk emanował ciepłem, siłą i jeszcze czymś, czego nie potrafiła nazwać.

Przez chwilę stali oboje w milczeniu, nie spoglądając na siebie, czując jakąś dziwną, słodką niemoc. Wreszcie mężczyzna wypuścił jej dłoń ze swojej ręki i, jakby speszony tym, co się wydarzyło, zanurzył palce w gęstwinie swych jasnych włosów.

- Mamusiu! - Powrót do rzeczywistości nastąpił szybciej, niż sobie tego życzyła.

Mężczyzna spojrział na nią z niemym pytaniem w oczach.

- To Rosie, moja młodsza córka. Ma dopiero siedem lat - wyjaśniła. - Szczerze mówiąc, nie jest zbyt dobrym bramkarzem. Więc, jeśli zdarzyłoby się jeszcze kiedyś, że piłka...

- Nie ma sprawy - wpadł jej w słowo, uśmiechając się szeroko. - Zamierzam pokręcić się tu jeszcze jakieś dwa, trzy dni. W razie czego, wystarczy zawołać.

- Jeszcze pan pożałuje, że to powiedział - zażartowała ze śmiechem.

Ale coś mówiło jej, że jeśli natychmiast stąd nie odejdzie, to właśnie ona będzie osobą, która w przyszłości gorzko pożałuje swego dzisiejszego zachowania. Kątem oka dostrzegła, jak nieznajomy podąża za nią.

- Co stanie się z ogrodem? - Spojrzała w jego kierunku, udając, że jest to jedyne pytanie, które zaprzęta jej teraz głowę. - Podobno ma zostać sprzedany jakiemuś krwio pijcy? Słyszał pan coś o tym?

Nie odpowiedział.

- O nie, czyżby to był pan?! - wykrzyknęła w nagłym przypływie olśnienia.

- A co, jeśli tak? - Kąciki jego ust uniosły się lekko, odsłaniając biel zębów.

Stacey poczuła nieprzepartą ochotę, by natychmiast zapasać się pod ziemię.

Dlaczego, do diabła, wszystko sprzysięgło się przeciwko niej? Na domiar złego była rozczochrana, bez makijażu, ze śladami farby na wszystkich odsłoniętych częściach ciała. Farba miała co prawda ładny, jasnoniebieski odcień, ale było to raczej wątpliwe pocieszenie.

- Nic. Szkoda by mi było tylko widoku z okna - odpowiedziała szybko, próbując pokryć zmieszanie. - Ale może nie jest aż tak źle, może kwiaty i drzewa przetrwają?

- Obawiam się, że nie.

- Ach tak. - Mimo że spodziewała się takiej odpowiedzi, poczuła żal. - Domy mieszkalne?

- Biurowce.

- Ach tak... - powtórzyła bezwiednie. - Pracuje pan dla nowego inwestora?

- Nie, raczej dla samego siebie. - Pokręcił przecząco głową. - Nazywam się Nash Gallagher.

Podawała mu rękę i, zanim udało jej się wykrztusić nazwisko, przez krótką chwilę ponownie rozkoszowała się bezkarnie ciepłem męskiej dłoni.

- Stacey O'Neill. Clover i Rosie, czyli moje córki, już pan zdążył poznać.

- Bardzo mi miło - powiedział, nie wiadomo czemu nie wypuszczając jej dłoni z uścisku. - Jak już mówiłem, zamierzam zatrzymać się tutaj na kilka dni, więc jeśli zobaczyłaby pani światło w którejś z altanek, proszę nie wzywać policji. Przynajmniej nie od razu.

- Zatrzymać się? Tutaj?! - Rozejrzała się wkoło. Dopiero teraz zauważyła, że pod jednym z drzew rozbity jest

mały, jednoosobowy namiot. - Cóż, ma pan szczęście. Jeśli wierzyć ostatnim prognozom, to najbliższe dni powinny być raczej ciepłe i pogodne.

- Taką mam nadzieję.

Nad ich głowami roztaczało się piękne, bezchmurne niebo. Zbliżali się właśnie do końca ogrodu.

- Maaamooo!

- Dziewczynki zaczynają się niecierpliwić. - Stacey przrzuciła piłkę przez ogrodzenie i westchnąwszy, dodała: - Dopilnuję, by piłka nie poszybowała znów poza nasze ogrodzenie.

- Ale jeśli się nie uda, to proszę pamiętać, że dla mnie to żaden problem - zapewnił z uśmiechem.

Stacey spróbowała wspiąć się na ogrodzenie. W jej głowie panował nieopisany chaos, jedna myśl goniła drugą, a nie wszystkie były sensowne. Jak na przykład ta, że ma kompletnie nieopalone, trupioblade nogi. W dodatku ze śladami świeżej ziemi na kolanach, pamiętką po mało chwalebny wydarzeniu sprzed kilkunastu minut.

Te cholerne truskawki! Trzymała właśnie w ręku kilka dorodnych sztuk, które zdążyła zerwać dla dziewczynek, zanim zorientowała się, że nie jest sama w ogrodzie.

- Czy mogę jakoś pomóc? - zaproponował, widząc, jak niezgrabnie usiłuje podźwignąć się na jednej ręce.

Stacey poczuła gwałtowne kołatanie po lewej stronie klatki piersiowej, gdzieś na wysokości serca. Wizja tego, jak Nash Gallagher ponownie obejmuje swymi silnymi,

męskimi rękoma jej dłonie, była na tyle piorunująca, że Stacey nieomal zemdłała.

- Może przytrzyma pan truskawki? - poprosiła nieśmiało.

W odpowiedzi mężczyzna złączył obie dłonie i przysunął się do Stacey.

- Dzięki - rzuciła, opierając stopę na jego dłoniach i dźwigając się na wolnym przedramieniu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - Zawsze do usług.

Miękko zeskoczyła na trawę w swojej części ogrodu, udając, że nie słyszy ostatnich słów Nasha, i czym prędzej pognała w stronę domu. Koniecznie, ale to koniecznie musiała ochłonać.

Nash Gallagher odprowadził Stacey przeciągłym spojrzeniem. Jeszcze przez chwilę miał pod powiekami widok jej długich, smukłych nóg, kiedy zwinnie przeskakiwała przez ogrodzenie. Urody nie odbierała im nawet spora ilość jasnoniebieskich plam po farbie olejnej.

Musiała być w trakcie remontu, to pewne. Pytanie tylko, czy chciała, czy też musiała przeprowadzać go sama. Wziąwszy pod uwagę, że jej mąż nie żył, mogła nie mieć innego wyboru.

Stacey siedziała właśnie wraz z dziewczynkami przy stole w kuchni, kiedy jakiś głuchy łoskot poderwał wszystkie trzy na równe nogi. To ta upiorna, wciąż nie przykre-

eona klamka, zgodnie zresztą z prawami ciężenia, spadła na podłogę.

- To, czego ten dom potrzebuje w pierwszym rzędzie, to jakiś zamożny mężczyzna - skwitowała wydarzenie starsza z córek ponurym tonem.

- Clover! - upomniała ją Stacey.

- Ale to prawda. - Rosie poparła siostrę. - Ciocia Dee też tak uważa.

Oczywiście! Wszyscy przysięgli się chyba przeciwko niej. Najgorsze, że niestety, mieli rację.

Po śmierci Mike'a jej starsza siostra, Dee, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Uważała, że Stacey jest jeszcze zbyt młoda na to, by w nieskończoność opłakiwać nieżyjącego męża. Nie mówiąc już o tym, że Clover i Rosie bezsprzecznie potrzebowały ojca.

Zdaniem Dee powinien być to mężczyzna w średnim wieku, doświadczony, niezłe sytuowany, najlepiej zupełnie pozbawiony temperamentu i poczucia humoru. A już z całą pewnością mający wstręt do motocykli i szybkiej jazdy. Może księgowy, jak jej własny mąż? No, w najgorszym razie jakiś agent ubezpieczeniowy.

Stacey podniosła klamkę z ziemi. Koniecznie musi naprawić drzwi jeszcze przed sobotą, kiedy Dee pojawi się u niej na obiedzie.

Przed oczami ponownie stanęła jej wysoka, szczupła sylwetka nowego znajomego z ogrodu. Mimowolnie uśmiechnęła się.

Miłość z tym mężczyzną w samym sercu wielkiego,

dzikiego ogrodu, to było dokładnie to, co dobrze by jej teraz zrobiło.

Ale ona przecież jest matką. A matki powinny być odpowiedzialne.

A może by tak wynająć poddasze jakimś dwóm czy trzem studentkom? Albo jeszcze lepiej, studentom? Może chociaż jeden z nich potrafiłby posługiwać się młotkiem i obcęgami? Nie mówiąc już o tym, że comiesięczny zastrzyk gotówki również bardzo by się przydał.

Nash zajęty był właśnie sprząaniem szkła z rozbitego okna altanki, kiedy uświadomił sobie, że uśmiecha się sam do siebie. Na jego twarzy pojawił się uśmiech jeszcze szerszy, kiedy dotarło do niego, dlaczego był w takim świetnym humorze.

To zupełnie niespotykane w dzisiejszych czasach, żeby kobiety potrafiły rumienić się tak uroczo, jak ta piękna, młoda wdowa, gdy przyłapał ją buszującą pośród grządek dojrzałych truskawek. Jego truskawek.

Czuł się trochę winny, że to właśnie on był powodem jej zmieszania, ale cóż, przynajmniej poznał piękną panią Stacey.

Rozpostarł przed sobą plany terenu z naniesionym projektem biurowca. Na papierze całość wyglądała naprawdę dobrze. Ale stojąc tak pośrodku ogrodu, na miękkiej, zielonej trawie, z rzędem drzewek brzoskwiniowych za plecami i ze stuletnim niemal murem na horyzoncie, poczuł się trochę mniej pewnie.

Na papierze zawsze wszystko wyglądało o wiele prościej niż w rzeczywistości.

Mimo że nie był sentymentalny i mimo że nie idealizował swego dzieciństwa, nie potrafił tak po prostu przekreślić kawałka swojego życia związanego z tym miejscem. Taka była prawda.

- Zrozum, starzejesz się. W dodatku dzieci są kosztownym luksusem. - Dee starała się włożyć w swą przemowę całe serce. - Potrzebujesz męża, a dziewczynki ojca.

- Nie potrzebuję męża. Raczej godnego zaufania fachowca, który wyremontowałby dom. - Stacey postawiła na stole miseczkę z truskawkami. - A Clover i Rosie mają ojca. Nikt i tak nie zastąpi im Mike'a.

- Oczywiście, masz rację - potwierdziła szybko Dee. - Ale Micke'a już nie ma z wami. - Jej głos brzmiał miękko i łagodnie. Zbyt miękko i zbyt łagodnie, co natychmiast obudziło czujność Stacey. - Powinnaś znaleźć kogoś, kto pomógłby dziewczynkom przejść przez trudny wiek dojrzewania, w który właśnie wchodzi. Jesteś im to winna. - Dee zawiesiła na chwilę głos. - Kogoś takiego, jak na przykład Lawrence Fordham.

- Lawrence Fordham?! - Stacey nie wierzyła własnym uszom. - Chcesz wydać mnie za własnego szefa?!

- I co cię tak dziwi? To miły człowiek. Odpowiedzialny, rozsądny, dojrzały - wymieniała Dee jednym tchem.

- Jest tylko może odrobinę zbyt nieśmiały, to wszystko.

- Rzeczywiście, odrobinę - skwitowała ironicznie Sta-

cey. - Przypomnij sobie tylko, jak usiłowałam nawiązać z nim jakikolwiek kontakt na przyjęciu u ciebie w domu. Zdaje się, że jedyną jego pasją jest produkcja serów i rozwój kultur bakteryjnych w jogurtach owocowych.

- Nie przeczę, praca bez reszty go pochłania. Ale jestem pewna, że kiedy poznasz go bliżej...

- Dee, skończmy z tym - westchnęła ciężko Stacey.

- Masz rację, to miły człowiek. O ile, oczywiście, ktoś gustuje w tego typu ludziach.

- Stacey, spójrz prawdzie w oczy. Dobiegasz trzydziestki, samotnie wychowujesz dwie dorastające córki. Niedawno już pozostało mężczyzn, którzy byliby zainteresowani związkiem z taką kobietą.

- Proszę cię, Dee...

- Lawrence jest solidny. Odpowiedzialny. Jestem pewna, że byłby dla ciebie prawdziwą podporą. - Dee zamilkła na chwilę, po czym jednym tchem dodała: - Umówiłam cię z nim na sobotę.

- Co takiego?! - Stacey nie posiadała się z oburzenia.

- Ty chyba żartujesz?!

- Nie rozumiem, kochanie, dlaczego tak się wściekasz. Jestem pewna, że Lawrence byłby doskonałym mężem. Potrafiłby cię uszczęśliwić. Czy nie tego właśnie potrzebujesz? Odrobiny szczęścia?

- Małżeństwo? Myślałam, że rozmawiamy o randce?

- Owszem, od tego powinniście zacząć. Jednak oboje jesteście przecież dojrzałymi ludźmi. No i, jakby to powiedzieć, już nie pierwszej młodości. - Dee utkwiała

w siostrze błagalne spojrzenie. - Obiecuj mi, że pójdziesz, proszę...

Proszę? Dee musiała być rzeczywiście zdesperowana.

- Ja zupełnie nie mam co na siebie włożyć. - Stacey chwyciła się ostatniej deski ratunku.

- Mogę ci pożyczyć moją czarną wizytową sukienkę.

- Powiedz mi, Dee, czy Lawrence nie obiecał ci przypadkiem jakiejś premii za to, że znajdziesz mu towarzystwo na sobotni wieczór? Zresztą, lepiej nic nie mów. Boję się usłyszeć odpowiedź.

- Stacey, daj spokój. Uroczy wieczór przy świecach w wytwornej restauracji. To wszystko. Czy ostatnio dostałaś wiele tego rodzaju propozycji?

Nie, nie aż tak wiele. Prawdę mówiąc, żadnej, stwierdziła w duchu Stacey.

- No, to jak? - Dee jakby nabierała pewności siebie.

- A jeśli się czegoś obawiasz, wiedz, że Lawrence to mężczyzna na poziomie. Zresztą my również tam będziemy.

„Mężczyzna na poziomie”, jej słodka siostra i uroczy szwagier... Wieczór rzeczywiście zapowiada się interesująco. Ale zaraz, zaraz...

- Jeśli ty i Archie również się tam wybieracie, to nie będę miała z kim zostawić dziewczynek. - W głosie Stacey zabrzmiała triumfalna nutka.

- Clover i Rosie mogą zostać u nas. Ingrid zajmie się nimi. - I o ile w głosie Stacey była to zaledwie nutka, to w głosie Dee słychać było prawdziwą symfonię triumfu.

- Ale to nie wszystko. Zamierzam zaprowadzić cię do fryzjera i manikiurzystki.

- No, teraz twoja propozycja zaczyna być naprawdę kusząca. - Stacey spojrzała ze smutkiem na swe dłonie. Właściwie to przed czym ona tak się broni? Kolacja, trochę muzyki, gratisowa wizyta w salonie piękności...

- Czy jesteś pewna, że będę mogła pożyczyć twoją czarną sukienkę?

- Jutro rano osobiście ci ją przyniosę.

- Jak to? Wydawało mi się, że mówimy o przyszłym tygodniu.

- Owszem, ale wolę mieć pewność, że nie wymyślisz do tej pory jakiejś wymówki. - Dee, świętująca już niemal swe zwycięstwo, sięgnęła po truskawkę. - Hmm... pyszne! Najlepsze, jakie jadłam tego roku. Skąd je masz?

- Od sąsiada - odparła lakonicznie Stacey.

Nie widziała Nasha od czasu, kiedy przyłapał ją na buszowaniu pośród grządek jego własnych truskawek. I mimo że bardzo na to liczyła, dziewczynkom nie zdarzyło się ponownie przerzucić piłki za ogrodzenie.

Aż do wczorajszego wieczoru.

I być może siostra nie musiałaby jej teraz umawiać na randkę ze swoim szefem, gdyby nie fakt, że dzisiaj, z samego rana, piłka leżała sobie grzecznie na murze. Tuż obok stała sporych rozmiarów miseczka ze świeżo zerwanymi truskawkami.

- Sąsiada? Jakiego sąsiada? - Zdaje się, że Dee potrafiła szybko kojarzyć fakty. - A to co, masz gorączkę?

- Nie, skąd. - Stacey zasłoniła dłońmi rozpalone policzki. - To te upały. Myślałam sobie właśnie...

- Tak?

- Co powiedziałaabyś, gdybym postanowiła wynająć kilka pokoi jakimś studentom? - Stacey wiedziała doskonale, co powie na to jej starsza siostra, ale musiała natychmiast skierować rozmowę na inne tory.

- Uważam, że jedyna rozsądna rzecz, jaką można zrobić, to sprzedać ten cholerny dom. Przy odrobinie szczęścia znajdzie się ktoś, kogo tak zachwyci widok starych, zdziczałych róż przed oknami, że jakimś cudem nie zwróci uwagi na przeciekający dach i skrzypiące okiennice. - Dee przerwała na chwilę. - Skoszenie trawy powinno w tym pomóc.

- Część pieniędzy za wynajem... - Stacey udawała, że nie słyszy sarkazmu w głosie siostry - ...mogłabym przeznaczyć na remont domu. A wtedy, jeśli rzeczywiście postanowiłabym go sprzedać, z pewnością uzyskałabym lepszą cenę. Co ty na to?

W odpowiedzi Dee machnęła tylko ręką i zniknęła na chwilę za drzwiami łazienki.

Stacey wyrzała przez okno.

Clover i Rosie siedziały na trawie przed domem, bez reszty pochłonięte zabawianiem młodszego kuzyna.

Po drugiej stronie ogrodzenia, oświetlony miękko promieniami słońca, stał nie kto inny, tylko Nash Gallagher. Odwrócił głowę w jej kierunku.

Stacey mogłaby przysiąc, że na jeden krótki, króciutki ułamek sekundy ich spojrzenia spotkały się.

- Zrobiłabyś coś dla mnie? - zwróciła się do Dee, kiedy ta ponownie pojawiła się w pokoju. - Czy po drodze do domu nie rozwiesiłabyś na uniwersytecie kilku ogłoszeń o pokojach do wynajęcia?

- Jeśli naprawdę tego chcesz... Ale pamiętaj, jest też inne wyjście. - Spojrzała na siostrę znacząco.

- Wyjść za Lawrence'a i nigdy już nie musieć martwić się o pieniądze? - Na twarzy Stacey pojawił się grymas niesmaku. - Dziękuję bardzo. A swoją drogą, dlaczego takiemu mężczyźnie jak on, zależy na umówieniu się właśnie ze mną? Przecież to chyba jasne, że gdybym zechciała go poślubić, to tylko dla pieniędzy.

Obie siostry roześmiały się.

Stacey ponownie wyrzała przez okno, ale po Nashu Gallagherze nie było już, niestety, ani śladu. Tak samo zresztą, jak po kawałku kruchego ciasta, które Clover zostawiła na murze wraz z miseczką po truskawkach, a które Stacey upiekła dzisiaj rano z okazji zapowiedzianej wizyty Dee.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Słyszałaś może, co zamierzają zrobić z tym starym ogrodem? - zainteresowała się Dee, kiedy obie zmierzały już w stronę samochodu.

- Ktoś się tam właśnie pojawił - odrzekła Stacey. Wzmianka o biurowcach jakoś nie chciała przejść jej przez gardło. - Podobno pilnuje terenu.

- Mówię ci, sprzedaj ten dom jak najszybciej. Później może już tylko stracić na wartości, o ile to jeszcze w ogóle możliwe - Dee najwyraźniej nie potrafiła odmówić sobie tej drobnej złośliwości.

Stacey postawiła dwuletniego siostrzeńca, Harry'ego, na ziemi.

- Do zobaczenia, maleńki - wyszeptła mu pieścotliwie do uszka, próbując jednocześnie ulokować go w foteliku samochodowym. - Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym mieć takiego słodkiego chłopczyka jak ty.

- Taak? - spytała Dee z nadmiernym ożywieniem, jakby nagle znalazła niespodziewanego sojusznika. - To by się nawet dało zorganizować...

Stacey postukała się znacząco palcem w głowę.

- Odezwę się w sprawie sukienki. - Nie dała się zbić z tropu Dee.

- W porządku. I nie zapomnij, proszę, o rozklejeniu ogłoszeń.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Nigdy przecież nie wiadomo, na kogo się trafi...

- Tak długo, jak będą płacić, nie będzie mnie obchodziło, kim są i skąd pochodzą.

Stacey przez chwilę jeszcze odprowadzała wzrokiem odjeżdżający samochód. Nie była pewna, czy Dee rzeczywiście dotrzyma słowa w sprawie ogłoszeń. Zdaje się bowiem, że siostra postanowiła za wszelką cenę zrealizować swoją wizję przyszłości Stacey i dziewczynek.

Na tę myśl uśmiechnęła się do siebie. Kochała ten dom, zbyt wiele wspomnień łączyło ją z tym miejscem.

- O czym myślisz, mamusiu? - Usłyszała za plecami głos Rosie.

- Jaskółki zagnieździły się tam, pod dachem, widziałas? - Stacey kucnęła, by pokazać dziewczynce świeżo zbudowane gniazdko. - Jeśli się zadomowią, to będziemy miały tu co roku jaskółczą rodzinę.

- Ale super!

Nash!

Mamusia kazała mi czekać, aż ty odrzucisz mi piłkę z powrotem, ale boją się, że to nie nastąpi nigdy, jeśli nie dowiesz się, że znowu ją zgubiłam.

Bardzo przepraszam.

Pozdrawiam, Clover.

P.S. Nie mów nic mamie o tym liście. Byłaby zła.

Nash ściągnął kartkę z muru. Zdaje się, że to całkiem niezła sposobność, żeby przejść się do pani O'Neill i osobście odnieść piłkę. A przy okazji podziękować również za ten kawałek przepysznego ciasta, który pojawił się na murze wraz z miseczką po truskawkach.

Stacey stała pochylona nad kosiarką do trawy, która, nie wiedzieć czemu, odmówiła nagle posłuszeństwa. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła głowę, by sprawdzić, co to takiego.

- Mogę jakoś pomóc? - Nash Gallagher przekładał właśnie drugą nogę przez ogrodzenie, uśmiechając się przy tym promiennie.

- Jedyne, co by tu mogło pomóc, to kupno nowej kosiarki! - odrzyknęła, starając się skupić całą uwagę na maszynie. - A tej bujnej, długiej na pół metra długości trawy również nie można zapisać po stronie zysków.

Nash, nie czekając na zaproszenie, pojawił się nagle tuż obok.

- Proszę mi to pokazać. Zobaczę, co się da zrobić.

Stacey zerknęła na niego niepewnie. Dobrze знаła te męskie sztuczki. Zakochała się kiedyś w mężczyźnie o równie promiennych oczach i... zdaje się, nie wyszło jej to na dobre.

- Nie, dziękuję, dam sobie radę.

- Z pewnością. - Kąciki jego ust uniosły się delikatnie ku górze. - Ale proszę nie mieć wyrzutów sumienia. Za-

wsze może mnie pani poczęstować dodatkową porcją kruchego ciasta.

- Ach, tamto... To zasługa Clover. Chciała podziękować panu za odnalezienie piłki. Ponowne.

- Tak? - Nash nie wydawał się przekonany co do takiej wersji wydarzeń. - Dzięki, Clover, zdolna z siebie dziewczynka. A czy potrafisz również parzyć herbatę?

Clover zachichotała.

- To mamusia upiekła ciasto - powiedziała. - Ale zaparzenie herbaty to kaszka z mlekiem, wiele razy to robiłam. - Clover odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę domu.

- Jeśli o mnie chodzi, to lubię z dwiema łyżeczkami cukru! - zawołał za nią Nash.

Dziewczynka pokiwała głową.

- W takim razie, oto skrzynka z narzędziami - odezwała się Stacey, bardzo zadowolona z takiego obrotu sprawy. - Coś z tego na pewno się przyda.

Zdaje się, że Clover poruszała się z prędkością ponaddźwiękową, bo już po chwili wróciła z filiżanką świeżo zaparzonej herbaty w ręku. Podała ją Nashowi i, nie proszona, kucnęła obok niego.

- Clover, nie przeszkadzaj - upomniała ją Stacey.

- W porządku - odezwał się Nash. - O, a ty musisz być Rosie, czy tak? Ty też chcesz popatrzeć?

- Naprawdę ma na imię Primrose, ale nikt tak do niej nie mówi - wtrąciła jej siostra.

- Dlaczego, mnie się podoba. Siadaj tu, Primrose - za-

chęcił, wskazując dziewczynce miejsce obok siebie. - Widzicie tę skrzynkę? To silnik kosiarki.

Mikę nigdy nie miał do córek tyle cierpliwości, pomyślała Stacey z żalem. Dziewczynki, głęboko zasłuchane, nie spuszczały wzroku z Nasha.

- Masz własne dzieci? - Słowa wypłynęły z jej ust, zanim zdążyła pomyśleć.

- Nie. Żadnych dzieci. Ani żony - odparł krótko. - Nie przy moim trybie życia.

Musiał zobaczyć w jej oczach nieme pytanie, bo szybko dodał:

- Pracuję to tu, to tam. Ostatnio nawet w Ameryce Południowej.

Ameryka! Zawsze marzyła o podróżach. Ale to było, zanim poznała Mikę'a.

- I w końcu postanowiłeś wrócić do domu?

Zawahał się chwilę.

- Tak, chyba tak - odpowiedział, jakby sam jeszcze nie do końca w to wierząc. - W porządku, dziewczynki. Zdaje się, że już gotowe. Sprawdzimy?

Włączył maszynę. Rozległ się równomierny, niski dźwięk, zupełnie różny od tego, do jakiego przyzwyczajona była Stacey.

- Co zrobiłeś? Brzmi zupełnie jak nowa.

- Nic takiego. Trochę ją tylko oczyściłem - odparł, patrząc na nią ciepło. - Jeśli nie miałabyś nic przeciwko, mógłbym również spróbować naostrzyć nożyce. Mam tam ostrzałkę.

Gdy wskazywał głową altanki po drugiej stronie muru, grzywka opadła mu niesfornie na czoło. Poprawił ją ręką, zostawiając przy tym na twarzy ciemną smugę oleju.

Stacey siłą powstrzymała się, by nie podejść do niego, delikatnie nie dotknąć jego twarzy i opuszkami palców nie zetrzeć z niej ciemnych śladów.

- Więc jak? - ponownie zapytał Nash, przerywając brutalnie jej słodkie rozmyślenia.

Więc jak? To pytanie mogło oznaczać wiele. Ale niestety, w tym przypadku chodziło tylko i wyłącznie o naostrzenie nożyc jakiejś głupiej kosiarki.

- Nie chciałabym sprawiać ci kłopotu - odpowiedziała ostrożnie. W końcu nie codziennie bosko przystojni mężczyźni ofiarowywali jej pomoc. Nawet w tak drobnych kwestiach, jak naprawa kosiarki.

- Żaden problem - odrzekł szybko z uśmiechem. - To zajmie tylko chwilę. Dzięki za herbatę, Clover.

I, dając długiego susa, zniknął za ogrodzeniem.

W ogrodzie zrobiło się jakoś dziwnie pusto.

Tak, Dee chyba jednak rzeczywiście miała rację. W domu przydałby się mężczyzna.

- Mamo, zaprosimy Nasha na kolację! - dobiegł ją zza pleców proszący głosik Rosie.

- Przypuszczam, że jest na to zbyt zajęty - ostrożnie odparła Stacey.

Zbyt zajęty, by zadawać się z tonącą w długach i osaczoną problemami wdową z dwójką dzieci, dodała w myślach i uśmiechnęła się smutno.

- Ale zapytasz go chociaż? - Tym razem odezwała się Clover.

Cóż, prawdę mówiąc, miała na to wielką ochotę. Ale zbyt wiele ciężkich chwil przeżyła w ciągu ostatnich lat, by teraz tak po prostu dać ponieść się emocjom.

- Zobaczymy - krótko ucięła dyskusję, ruszając w stronę domu.

Zapalała właśnie światła na zewnątrz, kiedy Nash pojawił się z powrotem. W rękę trzymał błyszczące, świeżo naostrzone nożyce.

- Mama powiedziała, że możesz zostać u nas na kolacji, jeżeli chcesz - Clover odezwała się zbyt szybko, by Stacey zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować.

- Proszę, zgódź się - zawołała Rosie.

- Naprawdę? - Nash utkwiał w Stacey pytające spojrzenie, ale widząc, jak się rumieni, spuścił wzrok. Nie miał zamiaru wprawiać ją w zakłopotanie.

- Nie planuję na dziś nic szczególnego. Będzie po prostu spaghetti bolognese. - Obawiając się, by jej słowa nie zabrzmiały zbyt oschle, dodała: - To ulubione danie dziewczynynek.

- Moje również. - Błąd. Teraz może poczuć się zobowiązana. - Ale oczywiście mną się nie przejmuj.

- Jestem ci naprawdę wdzięczna za kosiarkę...

- Drobiazg.

- Byłoby nam naprawdę miło, gdybyś został na kolacji. Oczywiście, jeśli masz czas i ochotę.

Uff... Stało się, powiedziała to wreszcie.

- Szczerze? Z największą przyjemnością. - Stacey zamarła na chwilę. - Nie miałem w ustach domowego jedzenia od miesiący.

Ach tak? Stacey O'Neill, jesteś głupią gęsią, jeśli myślałaś choć przez chwilę, że...

- W takim razie zapraszam na szóstą - odezwała się nieco chłodniej.

- Będę na pewno. - Pogłaskał obie dziewczynki po włosach i odszedł.

Stacey zamknęła za sobą drzwi łazienki. Niepewnie zerknęła w lustro.

Dlaczego, do diabła, właśnie dzisiaj związała włosy tak niestarannie?

I gdzie jest ten cholerny lakier do paznokci?! Powinien przecież gdzieś tu być.

Poza tym koniecznie, ale to koniecznie musi zacząć używać rękawiczek do wszelkiego rodzaju prac ogrodniczych i domowych.

Stacey rzadko myślała o sobie jako o kobiecie. Zbyt rzadko. Przede wszystkim była przecież matką. Cóż, ale nawet jako matka mogłaby wyglądać chociaż odrobinę lepiej.

Spojrzała z niesmakiem na swój stary, rozciągnięty i niemiłosiernie poplamiony trawą podkoszulek.

Nie, w tym z pewnością nie może wystąpić. W takim razie, w czym?

- Stacey O'Neill, kogo ty, do diabła, chcesz oszukać?

- mruknęła pod nosem. - Nie rozumiesz? Przecież to najzupełniej obojętne, jak będziesz uczesana i co na siebie włożysz. Nash Gallagher i tak tego nie zauważy.

W takim razie nie będzie robić z siebie idiotki i szykować się jak na eleganckie przyjęcie.

Dżinsy i jakiś zwykły, biały podkoszulek powinny wystarczyć.

No, dżinsy to może przesada. W takim razie włoży tę swoją starą beżową spódnicę. A zamiast podkoszulka tę ciemnoczerwoną, obcisłą bluzeczkę, którą ostatnio dostała od Dee. I to wszystko, żadnych więcej przygotowań.

Jeszcze tylko jedno pociągnięcie rzęs czarnym tuszem. Ale żadnych szminek. Absolutnie żadnych.

Ostatnią rzeczą, na której jej zależało, to danie temu przystojniakowi do zrozumienia, że wpadł jej w oko.

W nieco lepszym już humorze, Stacey zbiegła na dół.

- Clover, Rosie, nakryjcie do stołu!

- Już to zrobiliśmy! - odkrzyknęły dziewczynki.

Na stole, przykrytym wyjętym z szafy obrusem, stał porcelanowy serwis. Stacey używała go wyłącznie na specjalne okazje.

Mruknęła coś pod nosem, ale prawdę mówiąc, nie miała nawet sił, by się o to na nie gniewać.

- Mamusiu, możemy zerwać świeże kwiaty i postawić w wazonie na stole? - dobiegło ją pytanie Clover.

- Możemy, mamusiu? - zawtórowała jej z zapalem młodsza siostra.

I nie czekając na odpowiedź, pobiegły do ogrodu.

Stacey, zajęta przygotowywaniem kolacji, zerknęła na zegarek. Zbliżała się szósta. Poczowała, jak powoli całe jej ciało ogarnia nerwowe drżenie. Wyrzała przez okno.

Od strony ogrodu, spokojnym krokiem, ubrany w jasne dżinsy i ciemnoniebieską, bawełnianą koszulkę, siedł Nash Gallagher. Jego jasna czupryna pięknie połyskiwała w słońcu.

Nieoczekiwanie przed oczami stanął jej Mikę.

Oboje mieli znów osiemnaście lat i całe życie przed sobą...

Całe życie, aż do czasu, kiedy widziała go po raz ostatni, gdy wsiadał na ten przeklęty motor...

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Przyszedłem za wcześnie? - Nash stanął niepewnie w drzwiach.

Na środku pokoju, w kałuży wody i cała tonąc we łzach, stała Rosie. Stacey nerwowo zbierała porzrzucone wokół skorupy wazonu.

- Mogę pokrzyżać trochę wokół domu i wrócić za pięć minut, udając, że nic nie widziałem. Co ty na to?

Stacey wyjęła mokrą szmatę. Tak to jest, kiedy chcesz choć na chwilę zapomnieć o szarej codzienności. Dzieci zawsze sprowadzą cię na ziemię.

- Nie, wejdź, proszę. Właśnie kończę.

- W takim razie, czy mogę jakoś pomóc? - Widząc zdumienie na jej twarzy, dodał: - Mógłbym, na przykład, zamieść podłogę.

Mężczyzna o wyglądzie młodego boga, umiejący posługiwać się szczotką i zmiotką? To nie może być prawda.

- Nie, dziękuję. Właściwie już skończyłam. - Stacey zebrała ostatnie kawałeczki wazonu i wyrzuciła je do kosza. - Coś do picia? Może sok porzeczkowy?

W jej głosie słychać było zdenerwowanie. Na szczęście mogła je zrzucić na karb zdarzenia z wazonem.

- Chętnie. Chociaż ja też coś przyniosłem. - Wyciąg-

nał rękę z butelką wina. - W piwnicy uchowało sięjeszcze kilka butelek.

Wino, no tak, oczywiście. Powinna była to przewidzieć. Tylko gdzie, do diabła, mógł się podziać ten cholerny korkociąg?

- To twój namiot jest podpiwniczony? - zapytała, zyskując minutkę, może dwie.

Nash roześmiał się. Po chwili, trafnie odczytując minę Stacey, wyciągnął z kieszeni scyzoryk.

- Pozwól, ja to zrobię. - Wyjął butelkę z jej ręki i wyciągnął korek.

- Pod naszym domem też jest piwnica. - Rosie ocierała rękawem ostatnie łzy z policzków. - Ale tam są tylko pająki.

- Rosie nie przepada za tymi stworzonkami. To właśnie jednemu z nich zawdzięczamy rozbity wazon. - Mówiąc to, Stacey ucałowała córeczkę w czoło.

Nash chwycił dziewczynkę pod pachy i posadził ją sobie na kolanach.

- Dlaczego, Rosie? Pająki są przecież bardzo pożyteczne. Kiedy byłem w dżungli... - przerwał i spojrzał z niepokojem na Stacey. - Mogę opowiedzieć jej parę historyjek?

Czy ten mężczyzna naprawdę był ideałem? Nie dość, że przystojny, inteligentny, to jeszcze tak wzruszająco taktowny i delikatny. Stacey skinęła głową.

- Więc, jak już mówiłem, kiedy byłem w dżungli, pewien pająk uratował mi życie.

- Jak? - Drżenie głosu Rosie wskazywało, że ciekawość toczy ciężki bój ze strachem.

- Jesteś pewna, że chcesz posłuchać dalszego ciągu? To był naprawdę duży pajak...

- Jak duży? - Zdaje się, że chwilowo zwyciężyła ciekawość.

- Duży jak, jak... jak ten talerz. - Nash wskazał ręką na talerz ze spaghetti, stojący na stole. Widząc jednak nieco krytyczne spojrzenie Clover, szybko dodał: - No, może raczej jak ten spodeczek. Na imię miał Roger.

- Skąd wiesz, jak miał na imię? Powiedział ci? - Rosie chyba kompletnie pozbyła się już strachu. No bo jak można bać się pajaka, któremu na imię Roger?

- Oczywiście, że nie. Pajaki są bardzo skryte. - Wszystkie trzy zachichotały. - Jedna papuga nas sobie przedstawiła.

- Papuga? - upewniła się Stacey.

- Tak - potwierdził, patrząc jej przy tym w oczy tak, jakby na całym świecie było tylko ich dwoje. Stacey znała tego typu spojrzenia. - Papuga.

- Papuga - powtórzyła. Jej usta były suche, a w głowie huczało.

Sięgnęła do kredensu po kieliszki. Nash napełnił jeden z nich winem i podał go Stacey. Jego ręce były silne i pewne. Stacey głośno przełknęła ślinę.

- Lubię papugi - zawołała Rosie. - Mamusiu, możemy mieć papugę?

- Nie. Najwyżej kota albo chomika, kiedy się przeprowadzimy.

- Przeprowadzacie się? - W głosie Nasha słychać było zaskoczenie.

Stacey machnęła tylko ręką, dając do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać. Nash Gallagher był nie tylko przystojny, inteligentny i taktowny. Był również niezwykle domyślny.

- Jak tam, Rosie, masz jakieś zwierzątka? - zapytał, zmieniając temat.

- Nie, nie mam. Ale kiedyś na pewno będę miała.

Stacey wstała od stołu, zbierając naczynia.

- Dzięki, było pyszne. - Nash poderwał się, by jej pomóc.

- Nie, nie, dziękuję. - Potrząsnęła głową. - Nie jestem przyzwyczajona do mężczyzn kręcących się po kuchni.

- Cóż, ja musiałem nauczyć się i tego. Może jednak?

- Następnym razem. - Stacey sama nie wierzyła, że to powiedziała. Przecież to było niemal, jak... flirt. Czowała, jak jej policzki przybierają powoli barwę purpury.

- A ty masz psa, Nash? - Z pomocą przyszła jej niespodziewanie Rosie.

- Nie przy moim trybie życia - odparł. - Miałem kiedyś, jak byłem w twoim wieku. Małego mieszańca. Zdaje się, że jeden z jego dawnych przodków musiał być dalmatyńczykiem.

- Kocham dalmatyńczyki! - wykrzyknęła zachwycona dziewczynka. - Mamusiu, możemy obejrzeć „101 dalmatyńczyków” po kolacji? Nash, obiecaj, że obejrzysz z nami.

- Rosie, dosyć. Jestem pewna, że Nash ma stokroć ciekawsze rzeczy do robienia, niż oglądać z tobą film o dalmatyńczykach - odezwała się na pozór srogim głosem, z którym kłócił się jednak wyraz twarzy.

Stacey, opamiętaj się! - ofuknęła się w duchu. Jeśli zaraz z tym nie skończysz, gorzko tego pożałujesz. To nie jest facet dla ciebie.

Pamiętaj, co mówiła Dee. Potrzebujesz mężczyzny uporządkowanego, zrównoważonego i przede wszystkim przewidywalnego.

Tak, koniecznie powinna zwrócić uwagę na tego, jak mu tam, Lawrance'a. W sobotę da z siebie wszystko. Przecież, do cholery, musi sobie jakoś wybić z głowy Nasha Gallaghery!

- Może jeszcze filiżankę herbaty? - odezwała się, nie patrząc na niego.

Zauważył zmianę w jej głosie. Nagle, nie wiedząc czemu, przestała być słodka, miła i... wyczekująca.

- Po drodze tutaj widziałem donice z sadzonkami. To twoje hobby?

- Raczej praca.

- No, to łączy nas coraz więcej. Z zawodu jestem botanikiem.

- Naprawdę?

- Właśnie tym zajmowałem się w dżungli. Wyobraźcie sobie, są tam gatunki roślin, których nikt nigdy wcześniej nie widział i nie opisał...

Stacey spojrzała na niego badawczo.

- To chyba niezbyt intratne zajęcie?
- Zgadza się. Dlatego w końcu mój ojciec postanowił sprowadzić mnie z powrotem do kraju. Ma nadzieję, że czeka mnie tu świetlana przyszłość.

W takim razie chyba rzeczywiście łączy nas coraz więcej, pomyślała Stacey, przypominając sobie nieustanne zrzędlive napomnienia starszej siostry.

- Jego zdaniem marnuję siły i czas. Co innego kariera w banku, ubezpieczeniach czy chociażby w księgowości.

- Tak, to rzeczywiście byłaby bardzo „świetlana” przyszłość... - Stacey uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Cóż, taki właśnie jest mój ojciec. - Nawet ożenił się dla pieniędzy, dodał w myślach. - A ja lubię, jakby to powiedzieć, czuć wiatr w żaglach.

- I dlatego pewnie śpisz pod namiotem?

Zaśmiał się.

- A znasz kogoś w miasteczku, kto chciałby zaopiekować się bezdomnym botanikiem?

- Obawiam się, że nie - odrzekła szybko, by żadna z dziewczynek nie wpadła przypadkiem na pomysł odstąpienia mu swojego pokoju. Nie mogłaby spokojnie patrzeć na niego co rano, czekającego w slipkach, w kolejce do łazienki. - Ale jeśli coś usłyszę, dam ci znać.

- Dzięki. - Zauważył, jak się przestraszyła. Czyżby naprawdę sądziła, że zależy mu na cichym, przytulnym pokoiku w jej domu? Albo może, co gorsza, na miejscu w jej własnym, przestronnym zapewne, łóżku.

Jeśli tak właśnie pomyślała, to... miała rację.

- A czym ty się właściwie zajmujesz, Stacey?
- Cóż... Czymś, co, niestety, również nie wróży „światlanej” przyszłości. Mam małą szkółkę roślin. Dostarczam je później do sklepu w miasteczku. Kiedyś zaczęłam nawet studia na tym kierunku, ale... Życie potoczyło się zupełnie inaczej.

Małżeństwo albo dzieci? Może jedno i drugie, przebiegło mu przez głowę.

- Marzy mi się hodowla roślin egzotycznych, ale to chyba głupie mrzonki... - Uśmiechnęła się smutno. Po chwili, jeszcze żałośniej, zapytała: - No, a jak tam w ogrodzie? Czy wiadomo już, kiedy rozpoczynają się roboty?

- Nie, to jeszcze nic pewnego.

Stacey, masz w tej chwili wziąć się w garść! - nakazała sobie w duchu. Dość tych pretensji do całego świata. W końcu Nash Gallagher jest tylko miłym sąsiadem i lepiej, żeby tak pozostało.

- No, moi drodzy, czas na deser! - zawołała.

- Wszystko było naprawdę świetne, Stacey - Nash wstał od stołu. - A co z obiecany filmem, dziewczynki? Może posadzimy mamę na kanapie w salonie, a sami pozamywamy?

- Nie, nie, nie trzeba... - Nie zliczyłyby już, ile razy dzisiaj wprawił ją w zakłopotanie.

- Siadaj i odpoczywaj. Zaraz dostaniesz filiżankę gorącej herbaty. Musisz mnie słuchać, bo jestem doktorem.

- Doktorem?

- Cóż, mam doktorat z filozofii. Do parzenia herbaty powinien chyba wystarczyć, jak uważasz?

Chciał zrobić na niej wrażenie, czy po prostu się z nią przekomarzał?

Nie oponowała dłużej. Podeszła do telewizora w salonie i włożyła kasetę do magnetowidu.

Wspólne oglądanie filmu dla dzieci? - zaśmiała się w duchu. Na to nie wpadłaby nawet w najgłupszych snach.

Po chwili usiadła wygodnie na kanapie, robiąc, jak zwykle, dziewczynkom miejsce koło siebie. Z ulgą wyciągnęła przed siebie nogi.

Doktor czy nie, ale w jednym miał rację, pomyślała. Chwila odpoczynku rzeczywiście dobrze jej zrobi.

Nash pojawił się w drzwiach salonu, z filiżanką herbaty w ręku. Usiadł tuż obok.

Stacey wstrzymała oddech. Niemal nie pamiętała, jak to jest dzielić z kimś miejsce na sofie. Jak to jest, dzielić je z mężczyzną...

Wciągnęła w nozdrza jego zapach. Pachniał wiatrem.

Zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

- Nie byłoby ci wygodniej na fotelu? - zapytała, choć wiedziała, że musiało to zabrzmieć głupio.

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiejąc.

- Nie, dlaczego? Stąd widzę doskonale.

Odetchnęła z ulgą.

Z trudnością mogła skupić wzrok na ekranie telewizora.

Tak właśnie mogłoby być. Tak wyglądałoby ich życie, gdyby Mikę żył, pomyślała ze smutkiem.

- Słodzisz? - głos Nasha przerwał na chwilę jej rozmyślenia.

- Tak, proszę. - Podał jej cukiernicę.

Był taki... zadomowiony. Rozparty na sofie, tuż obok niej, z ręką ułożoną wygodnie na oparciu sofy, niemal dotykając jej pleców.

Starła się wyobrazić sobie na jego miejscu innego mężczyznę, Lawrence'a Fordhama, na przykład. Spróbowała wyobrazić go sobie siedzącego na sofie obok i śmiejącego się do rozpuku z dowcipów Walta Disneya. Niestety, jej wyobraźnia nie sięgała aż tak daleko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- W porządku, dziewczynki, na dzisiaj koniec. Pora spać. - Clover i Rosie próbowały jeszcze przez chwilę oponować, ale Stacey była nieubłagana. - Za pięć minut macie być w łóżkach.

- Dobranoc, Nash! - Rosie podbiegła do mężczyzny i objąwszy go za szyję, ucałowała serdecznie w policzek.

Clover była mniej wylewna.

- Przyjdiesz do nas jutro, Nash? - zapytała, zanim Stacey zdążyła zareagować.

Biedne dzieciaki, pomyślała. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo musiały tęsknić za ojcem.

- Daj spokój, Clover - odezwała się łagodnie. - Nash z pewnością ma ważniejsze sprawy na głowie.

- Z przyjemnością, kochanie... - Nash spojrział serdecznie na Clover. - Ale jutro właśnie miałem zamiar kogoś odwiedzić.

- Więc w poniedziałek? - ponowiła zaproszenie dziewczynka.

- Clover! - Głos Stacey zabrzmiał tym razem już nieco ostrzej. - Przestań męczyć Nasha. I nie zapomnij umyć zębów!

Dziewczynki wbiegły na schody i znikły w swoich pokojach.

- Przepraszam za nie, nie myśl, że...

- Nic takiego nie myślę - przerwał jej. - Jeszcze raz dziękuję, Stacey. To był naprawdę miły wieczór.

Skinęła głową.

- Na mnie już czas. A ty idź do dziewczynek, na pewno czekają.

Chciała go jakoś zatrzymać, powiedzieć, że jeszcze nie jest późno. Że położy córki spać i zaraz będzie z powrotem. Może napiliby się jeszcze herbaty? Albo dokończyli wspólnie butelkę wina? Albo po prostu posiedzieli chwilę, tylko we dwoje...

- Jesteś bardzo miłym gościem - rzekła zamiast tego.

- Tak myślisz?

Cisza, jaka zawisła między nimi, była aż gęsta od niewypowiedzianych słów. W takiej chwili mogło zdarzyć się wszystko. Jak to, na przykład, że Nash podejdzie bliżej, weźmie ją w objęcia i... pocałuje. Tak, jak mężczyzna całuje kobietę.

- Mamo, skończyła się pasta do zębów! - krzyknęła któraś z dziewczynek.

- Idź, Stacey. Poradzę sobie.

Nie pocałował jej. Mimo to, usta miała gorące.

Nawet jej nie dotknął, lecz i tak ciało Stacey przeszyły dreszcz.

Już niemal zapomniała, jak to jest. Nieomal nie pa-

miętała, jak to jest, kiedy wszystko wokół wiruje i płonie pożądaniem.

Nash ułożył się wygodnie na pościeli w namiocie. Co on, do diabła, najlepszego wyrabiał? Jego dewiza było przecież unikać wszelkich niepotrzebnych komplikacji.

Jest tu tylko przejazdem, nie wolno mu o tym zapominać. To nie jest jego życie i nigdy nie będzie.

Przypomniał) mu się słowa dziadka. Staruszek życzył sobie zobaczyć go, może już po raz ostatni przed śmiercią. Niestety, było z nim coraz gorzej.

- Idź, Nash, sprawdź, co się tam dzieje. Zobacz, co z ogrodem. - I, spoglądając na niego, dodał: - Poszedłbym sam, ale widzisz, nie chcą mnie stąd wypuścić.

Trzeba przyznać, że staruszek umiał poruszyć czułą strunę.

- Nie myśl, że poddam się tak łatwo. Chcę, żebyś sprawdził, czy potrafisz rozprawić się ze swoją przeszłością. Dopiero potem podejmij decyzję. A później przyjdź i opowiedz mi wszystko dokładnie, a ja być może podpiszę papiery - dokończył dziadek.

Nie spodziewał się, że ogród będzie aż tak zaniedbany, chociaż dziadek go przecież uprzedził.

Cóż, nic na tym świecie nie było proste. Nash miał swoje lata i wiedział, że życie to nie bajka.

I nie wiadomo, jak długo rozpamiętywałyby jeszcze te stare dzieje, pograżając się coraz bardziej w głuchym bólu,

gdyby nie Stacey O'Neill, przeskakująca przez mur i para jej wielkich, okrągłych oczu o barwie miodu.

Nic na tym świecie nie było proste. Nic. Nawet spotkanie pięknej, młodej kobiety. Kobiety, przy której mógłby pewnie uwierzyć w to, że szczęście nie jest jedynie czczym pojęciem.

Stacey nie była przecież z tych kobiet, w których można zakochać się i odkochać tak po prostu, jakby chodziło o wypicie szklanki wody.

Stacey była matką dwóch uroczych, dorastających dziewczynek. A jedno, czego był pewien na tym świecie, to właśnie to, że dzieci nie wolno lekceważyć. I że nikt, nigdy, przenigdy nie ma prawa ich ranić.

Więc jedyną rozsądną rzeczą, jaką może i powinien teraz zrobić, to wynieść się stąd jak najprędzej, zapominając raz na zawsze o ogrodzie, Stacey i dziewczynkach.

I tak właśnie postąpi. Zadzwoi jutro do dziadka, jak obiecał, i zaraz potem wyniesie się stąd, z powrotem do swojego bezpiecznego, na swój sposób poukładanego życia.

Jak na starego trapera, za którego się uważał, Nash Gallagher miał tym razem wyjątkowo kiepską noc. Wielokrotnie przekręcał się niespokojnie z boku na bok, próbując pozbyć się natrętnych, męczących myśli.

Zwinał się w kłębek, podłożył ramię pod głowę. W jego skroniach aż huczało od wspomnień o ogrodzie i wszystkich tych pięknych chwilach dzieciństwa, jakie tu przeżył.

Stacey otworzyła oczy. Musiało być chyba jeszcze bardzo wcześnie, bo na dworze panowała kompletna cisza. Nawet ptaki nie rozpoczęły na razie swego porannego koncertu.

Spojrzała na zegarek. Było kilka minut po czwartej.

O wiele za wcześnie, by wstawać, pomyślała. Przecież dzisiaj jest niedziela.

Może powinna zejść na dół i napić się ciepłego mleka? Może to pomoże jej ponownie zasnąć?

Uchyliła szerzej okno, wpuszczając nieco więcej świeżego powietrza.

Gdzieś tam w oddali, pod murem, tliło się maleńkie światełko. Myśl, że nie jest jedyną, która nie może spać tej nocy, ucieszyła ją.

Co takiego robił Nash Gallagher o tej niezwykłej porze, zastanawiała się. Pisał, czytał? Może planował jakąś kolejną podróż?

Narzuciła szlafrok i, ostrożnie, by nie zbudzić dziewczynek, zeszła na dół. Po chwili, z filiżanką świeżo zaparzonej herbaty, wyszła na zewnątrz.

- Nash! - Jej szept rozbrzmiał w ciszy tak donośnie, jak bicie dzwonów. Jakiś ptak odezwał się z gałęzi drzewa.

Nic. Żadnej odpowiedzi. Pewnie właśnie przed chwilą zasnął, co, biorąc pod uwagę gwałtowne kołatanie serca, jakie poczuła, było jej właściwie na rękę. Przyjście tutaj to chyba najgłupsza rzecz, jaką ostatnio...

- Stacey? Czy coś się stało?

Aż podskoczyła, przerażona. Z drugiej strony muru patrzyła na nią para zdziwionych oczu.

- Och, nie... Przestraszyłeś mnie. Po prostu zobaczyłam światło i pomyślałam sobie, że może miałbyś ochotę na filiżankę gorącej herbaty. Właśnie zaparzyłam.

Jak miał to rozumieć? Czy to było zaproszenie, czy tylko jakaś dziwna gra, której zasad nie rozumiał?

Podciągnął się na rękach i z wysokości muru spozjrzał jej w twarz. Słodką, śliczną, niewinną.

- Poczekaj, zaraz przeskoczę na twoją stronę. Tak będzie łatwiej. - Uśmiechnął się w duchu. - Chyba powinienem wstawić tu jakąś furtkę, co ty na to?

Milczała chwilę, zanim odpowiedziała.

- To chyba nie będzie konieczne, skoro zamierzasz niedługo wyjechać.

- Nie mogłem zasnąć - przyznał, celowo ignorując pytanie zawarte w jej słowach.

- Ja też nie... - Patrzyła, jak jego włosy lśnią ciepłym blaskiem w świetle poranka. Jej wzrok ześlizgnął się niżej, na silny, kształtny kark i odsłonięte ramiona. Poczuła, jak ogarnia ją jakiś wewnętrzny żar. - Wyjątkowo parna noc. Myślałam, że kto jak kto, ale ty jesteś do tego przyzwyczajony.

Rzeczywiście, był. Ale to nie gorąca, letnia noc była powodem jego bezsenności. Czy Stacey naprawdę nic nie rozumiała? Niczego się nie domyślała?

Niby nic, najzwyklejsza sprawa pod słońcem. Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta... A jednak...

A jednak nie mógł przecież tak zwyczajnie się z nią przespać, chociaż miał na to piekielną ochotę. Nie mógł,

bo nie potrafiłby później wytłumaczyć Clover i Rosie, że musi już odejść, że musi wracać do swoich lasów tropikalnych i odnaleźć tam samego siebie.

Dlaczego nic nigdy nie może być proste? - chyba już po raz setny dzisiaj zadał sobie to pytanie.

- Są rzeczy, do których nigdy nie można się przyzwyczaić - odezwał się bardziej do siebie niż do niej. - Chodź, usiądziemy na werandzie przed domem. Usłyszysz dziewczynki, jeśli się obudzą.

Stapała za nim, wsłuchując się w odgłos jego kroków, ciesząc się jego bliskością.

- Ten zapach - przez chwilę szukał właściwych słów - zupełnie, jak w zaczarowanym ogrodzie.

Uśmiechnęła się.

- To maciejka.

- A właśnie, miałaś jakieś plany co do roślin egzotycznych. Opowiedz mi o tym.

- To nie plany, raczej marzenia. Prawdopodobnie musiałabym zacząć od budowy paru oranżerii, a na to, pomiijając wszystko inne, nie ma tu miejsca.

Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Archiem, który obiecał, że o tym pomyśli. Ale to było, zanim znalazła go, nieprzytomnego, w jednej z altanek.

Powinna w końcu odwiedzić go w szpitalu, już dawno prosił ją o to. Może pożyczy samochód od Dee? W końcu siostra winna jest jej przysługę.

- Stacey... - łagodny głos Nasha przywołał ją do rzeczywistości.

- To tylko głupie marzenia. Zapomnijmy o tym - poprosiła. - Ja już dawno to zrobiłam.

Stała tuż obok, z odwróconą głową, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś w odległym horyzoncie. Wyczuwał niemal, jak broni się, by nie dać się złapać na czymś głupim, niedojrzałym, bezsensownym, na czymś, czego mogłaby potem żałować.

- Zapomniałaś, jesteś tego pewna? - Dotknął dłońią jej policzka, zaskoczony gładkością skóry. - Nie sądzę. W każdym razie nigdy, przenigdy nie powinnaś tak łatwo się poddawać. Nie pozwól umrzeć swoim snom, Stacey.

Odwróciła głowę. W jej oczach odbijał się mglisty blask poranka.

- Chyba przyznam ci rację... - Przez chwilę miał wrażenie, że wtula się w jego otwartą dłoń. - A jakie są twoje marzenia, Nash?

Opuścił rękę.

- Moje? Nie jestem typem marzyciela.

Odstawił kubek na podłogę werandy.

- No, na mnie już pora. Dzięki za herbatę.

- Drobiazg - uśmiechnęła się i dodała, tak, że nie mógł już tego słyszeć: - Zawsze do usług.

Stała jeszcze przez chwilę przed drzwiami domu, czekając, aż szczupła męska sylwetka zupełnie zniknie jej z oczu. Potem odwróciła się i wciągając w nozdrza zapach nocy, weszła do domu.

- Mamusiu!

- Tak? - Stacey odwróciła się w stronę Rosie. - Wielkie nieba, a to co?

W ręku dziewczynki tkwił ogromny bukiet kwiatów.

- Leżały na schodach werandy - wyjaśniła Rosie.

- Jak to? Skąd?! - zawołała Stacey, chociaż zdaje się, doskonale znała odpowiedź.

- Nash je tam zostawił. - Dziewczynka zanurzyła nos w kwiatkach. - Była też kartka.

- Kartka? - Mimo że obiecywała sobie zachować rozsądek i dystans, jej serce nie chciało podporządkować się rozumowi. - Jaka kartka?

- Nie wiem, coś, jak „dziękuję za ostatnią noc” albo jakoś podobnie. Zostawiłam ją w kuchni.

Stacey głośno przełknęła ślinę.

- No, Rosie, czemu nie włożysz ich do wody? - Próbowwała pokryć zmieszanie. - I postaraj się tym razem nie stłuc wazonu...

- Nash napisał też: „Sprawdziłem, pajaków brak”. Clover też to czytała.

Po śniadaniu dziewczynki, jak zwykle, poszły pograć w piłkę. Stacey postanowiła zabrać się za malowanie łązki.

Po kilku minutach w bramie pojawił się duży czerwony ford Dee.

- Przywiozłam ci sukienkę! - zawołała, zanim zdążyła wysiąść z samochodu.

- Chyba cały sklep?! - odkrzyknęła Stacey, widząc, jak siostra ciągnie za sobą całą torbę ciuchów.

Dee weszła do środka. Rzuciła rzeczy na kanapę.

- Zapakowałam jeszcze parę drobiazgów. Skoro w nich nie chodzę, szkoda, żeby tak leżały. - Z torby wyciągnęła pudełka z nowiutkim butami. - Kupiłam je chyba w zeszłym roku... Już mi się znudziły.

Stacey zbyt dobrze знаła swoją siostrę, żeby jej uwierzyć.

- Tak? A to ciekawe... Zdaje się, że to nie twój rozmiar. - Uśmiechnęła się pod nosem. - Czyżby od zeszłego roku zmalała ci noga?

Dee spojrzała na nią prosząco.

- No dobrze, przyznaję się. Mam do ciebie sprawę.

- O, to chyba jakaś wyjątkowo duża prośba. - Stacey zaśmiała się. Rozstawiła przed sobą puszki z farbami. - O co chodzi? Chcesz, żebym zaciągnęła Lawrance'a do łóżka?

- A zgodziłabyś się? - Dee wyraźnie spodobał się ten pomysł.

- Nigdy. Zapomnij o tym.

- Może i masz rację. Z nim trzeba ostrożnie.

Stacey nawet nie chciała wiedzieć, co Dee miała na myśli. Przyzwyczajenia i upodobania Lawrance'a były jej najzupełniej obojętne.

- Co ty właściwie robisz? - spytała nagle Dee, jakby dopiero teraz zauważyła poczynania siostry.

- Zabieram się właśnie za odnawianie łazienki.

- Sama?!

- Jak widzisz. Zdaje się, że to ty niedawno stwierdziłaś, że łazienka jest w opłakanym stanie.

- No, tak, ale nie miałam pojęcia, że potraktujesz to tak... dosłownie. - Dee westchnęła ciężko. - Ale wracajmy do sprawy. Jutro wieczorem urządany jest w miasteczku festyn. Miałam nadzieję, że będziesz mogła tam pójść z Lawrence'em.

- Możesz podać mi pędzel?

- Obiecałam mu co prawda, że ja tam będę, ale, niestety, muszę lecieć do Paryża. - Dee posłusznie sięgnęła po pędzel. - Jakieś załamanie na rynku mleczarskim czy coś takiego. Nie będzie mnie przez cały dzień.

- Pod stołem stoi puszka z farbą. Możesz ją tu przynieść? Dee podała puszkę siostrze.

- Ze względów marketingowych dobrze by było, żeby Lawrence pojawił się na jutrzejszym przyjęciu. Jednak jeśli mnie tam nie będzie, on na pewno postara się jakoś wymigać. - Dee pochyliła się nad Stacey i wyszeptwała: - Jest uroczym szefem, ale zupełnie nie ma głowy do interesów.

Może pan Fordham nie jest aż tak nudny, jak myślałam?

- zaczęła rozważać w duchu Stacey.

- Jak myślisz, ten kolor będzie odpowiedni?

Dee machinalnie skinęła głową.

- Więc jeśli ja pójde tam zamiast ciebie, to Lawrence uzna, że powinien pojawić się na przyjęciu? - odezwała się Stacey, bacznie obserwując siostrę. - Nie wydaje ci się, że ten kolor jest trochę za ciemny?

Dee w odpowiedzi tylko zwilżyła językiem wyschnięte wargi.

- Tak, muszę go chyba trochę rozjaśnić. - Stacey dodała do puszki odrobinę białej farby. - Teraz powinno być dobrze. Możesz więc spokojnie wykupić bilet na najbliższy lot do Paryża.

Przejechała pędzlem po ścianie łazienki.

- Pójdę na przyjęcie, ale ja też mam do ciebie prośbę.
- W oczach Dee pojawił się wyraz zaciekawienia. - Pożyczysz mi swój samochód?

- Jasne, tylko powiedz, kiedy będzie ci potrzebny.

- Muszę odwiedzić kogoś w szpitalu. Już dawno to obiecałam.

- Podstawię ci samochód jutro, po drodze na lotnisko, co ty na to? - I ciesząc się, że pewnie uda jej się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, dodała: - Będziesz mogła zahaczyć po drodze o fryzjera.

Stacey już otwierała usta, by zaprotestować.

- Wlicz to w koszta - nie dała jej dojść do słowa Dee.
- Ostatecznie chodzi o wyjście w sprawach służbowych. I załóż tę jedwabną sukienkę i buty na wysokim obcasie.

Stacey posłusznie skinęła głową.

- I nie zapomnij o makijażu... - rzuciła jeszcze Dee w drodze do drzwi.

Stacey spojrzała na rzeczy rozrzucone na kanapie i uśmiechnęła się do siebie. Wyświadczenie przysług starszej siostrze zaczynało być naprawdę przyjemne.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Więc jak, jest bardzo źle?

Nash odsunął nieco zasłonę. Szpitalny pokój natychmiast napełnił się blaskiem słońca.

- Naprawdę chcesz to wiedzieć, Archie? - spojrzał poważnie w oczy starszego pana. - Zrozum, drzewa wymagają nieustannej opieki, żeby...

- Ja o tym wiem. Nie byłem tylko pewien, czy i ty to zauważyłeś - przerwał mu dziadek. - Rośliny, jak ludzie, usychają bez miłości i troski. No, ale opowiadaj, dużo będzie brzoskwiń w tym roku?

Nash zamyślił się przez chwilę.

- Nie, jeśli wszystko zostanie zrównane z ziemią...

- Fakt - staruszek zaśmiał się sucho. - Ale to już nie moja sprawa. - Śmiech przeszedł nagle w ciężki, konwulsyjny kaszel. - Zawsze lubiłeś zrywać pierwsze dojrzałe owoce, pamiętasz? - dokończył po chwili.

- Tak, pamiętam. - Już nigdy nic nie smakowało mu tak, jak te pierwsze dojrzałe brzoskwinie, zrywane prosto z drzewa.

Clover i Rosie pewnie też lubiłyby to robić. I Stacey. Przez chwilę miał wrażenie, że niemal czuje smak jej ust, oblanych lepkiem brzoskwiniowym sokiem...

Aż wzdrygnął się, uświadamiając sobie, o czym myśli.

- Rzeczywiście zamierzasz sprzedać ogród? - zapytał cicho.

- Dobrze wiesz, że nie muszę... Znasz moje warunki - odparł dziadek.

Nash wiedział, co Archie ma na myśli. Staruszek zawsze potrafił manipulować ludźmi. Nawet teraz, leżąc niemal na łożu śmierci, usiłował wciągnąć wnuka w swoją grę.

- W mieście narzekają, że budowa biurowców w tym miejscu to nie najlepszy pomysł.

- Czyżby? A nie cieszą ich dodatkowe miejsca pracy? - spytał zgryźliwie Archie. - Chyba że masz na myśli kogoś konkretnego. Powiedz, czy te dwie małe nadal przelicają piłkę przez ogrodzenie?

Nash nie odezwał się.

- Ich matka pracowała dla mnie kilka godzin tygodniowo - dokończył w zamyśleniu Archie.. - Nadal marzy jej się uprawa roślin egzotycznych?

- A myślisz, że to dobry pomysł? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Owszem. Wąska specjalizacja decyduje dzisiaj o przetrwaniu. Stacey nie miałyby tu żadnej konkurencji.

Nash był pod wrażeniem. O ile ciało dziadka wyraźnie słabło, to umysł nadal pracował na najwyższych obrotach.

- To dosyć pocieszające dla Stacey.

- Jej potrzebne jest tylko jedno: trochę wiary w siebie. Ktoś powinien nią pokierować, dodać jej otuchy. Jej mąż

zginął w wypadku motocyklowym jakiś czas temu. Może wspominała ci o tym?

Nash nie odezwał się ani słowem.

- Została sama z dwójką dzieci. Dobrze, że przynajmniej pracuje blisko domu...

- Ale ona mówiła coś o przewodźce - Nash wtrącił ostrożnie.

- Ach tak? W takim razie kiepsko to wygląda. Jej dom jest w opłakanym stanie, ale ona bardzo kocha swój ogród.

- Będzie jej raczej ciężko sprzedać dom, z okien którego roztacza się widok na biurowce. - Dom będzie ciężko sprzedać i bez tego, dodał w myślach. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka było widać, że budynek wymaga kapitalnego remontu.

- Wszystko teraz w twoich rękach - przypomniał mu starszek.

Stary Arenie miał nadzieję, że odgrzewając dawne wspomnienia, uda mu się zwabić Nasha z powrotem do domu rodzinnego. Chciał odejść w przeświadczeniu, że sprowadził go w końcu na właściwą drogę.

- Mam odegrać rolę przykładowego wnuka i osiąść wreszcie na swoim, taki jest twój warunek? Inaczej sprzedasz ogród? Widzę tylko jeden szkopuł, jestem botanikiem, nie ogrodnikiem.

- Mówisz o tej dzungli, w której spędziłeś ostatnie lata? To nie jest życie dla młodego człowieka...

- Ale jeśli tam wrócę, będzie mi najzupełniej obojętne, co zrobisz z ogrodem.

Jeśli? Nash poczuł, jak po krzyżu przebiegły mu ciarki. Do tej pory nie było żadnego „jeśli”. Było „kiedy”.

- Kochasz przecież to miejsce. - Staruszek nie należał do ludzi, którzy poddają się łatwo.

- Kochałem, dziadku, kochałem - poprawił go Nash.

- Poza tym jestem pewien, że sam nie dałbym sobie rady.

- Znajdziesz kogoś, kto ci pomoże. - Archie oparł się o wysoko ułożone poduszki. - Czytałem niedawno, że ekologia to przyszłość. W pewnym sensie prowadzenie ogrodu można przecież nazwać działalnością ekologiczną, mam rację? - Archie zachichotał. - Oj, szkoda, że nie mam twoich lat... Wiedziałbym, co zrobić z życiem - odezwał się po chwili z nostalgią w głosie, rozkładając przed sobą papiery. - Więc jak?

- Dlaczego nie proponujesz prowadzenia ogrodu mojej matce? To przecież twoja córka.

- Tak, dzwoniła nawet do mnie, żeby mi o tym przypomnieć. - Nash ponownie usłyszał śmiech dziadka. - Ale znasz ją, ona nie lubi bawić się w sentymenty...

Pewnie nie słyszała nawet takiego słowa, dodał w duchu Nash.

- Więc, kiedy wyjeżdżasz? - Archie wydawał się już bardzo zmęczony rozmową.

- Nie przed czwartkiem. Obiecałem na uczelni, że wygłoszę jeden wykład. Wyobraź sobie, że zaproponowali mi objęcie katedry botaniki.

- Co ty powiesz? - spytał Archie na pozór obojętnie, i zwijając papiery, dodał: - W takim razie to może jeszcze

poczekać. Wróć, kiedy będziesz już pewien decyzji. I przynieś ze sobą butelkę szkockiej.

- Pozwalają ci tu pić szkocką?

- Nie, ale jestem przekonany, że popełniają niewybaczalny błąd.

W miasteczku Nash zatrzymał się przed sklepem. Traperskie życie, owszem, miało swoje uroki, ale co jakiś czas trzeba było również zdobyć bochenek świeżego chleba.

Niestety, sklep był zamknięty, lecz na drzwiach wisiała jakaś kartka. Nash podszedł bliżej i ze zdumieniem przeczytał:

Pokoje do wynajęcia. Mile widziani studenci. Wiadomość u Stacey O'Neill.

Poniżej podany był znajomo brzmiący adres.

Więc to tak? Szanowna pani O'Neill chętnie wynajmie kilka pokoi w swoim domu, ale niestety, nie jemu?!

Istnieją tylko dwa powody, dla których nie chciałyby mieszkać ze mną pod jednym dachem, pomyślał. Albo nie ufa mnie, albo nie ufa sobie.

A przecież tak uważał, by nie zrobić nic, co mogłoby wprawić ją w najmniejsze choćby zakłopotanie. Nic, co mogłoby bodaj sugerować, że chciałby, by ich znajomość przerodziła się w coś więcej. Chociaż chyba tylko on wiedział, ile wysiłku go to kosztowało.

Przypomniał sobie, jak przysłała do niego rankiem, z kubkiem herbaty w ręku... Jeszcze nieco senna, słodka i chyba nie do końca świadoma swej lekkomyślności. Był

pewien, że każdy inny mężczyzna na jego miejscu odebrałby takie zachowanie jako zaproszenie...

Nash wsiadł na swojego harleya. Zapiął kask, włączył silnik i ruszył, z mocnym postanowieniem zadania pani O'Neill kilku pytań.

Był już niemal pod domem Stacey, kiedy zreflektował się i uspokoił.

Czy jest o co toczyć bój? Przecież zamierza tu zostać jedynie do czwartku. Zamieszkanie ze Stacey i dziewczynkami pod jednym dachem mogłoby się skończyć tym, że jego pobyt przedłużyłby się niebezpiecznie długo, może nawet... w nieskończoność.

A tego przecież nie chciał. Już dawno postanowił, że nie będzie sobie komplikować życia.

Stacey wyciągała właśnie z piwnicy gumowy wąż do podlewania trawy, kiedy niespodziewanie usłyszała charakterystyczny odgłos motocykla.

Serce zabiło jej silniej. Przez chwilę, przez jedną krótką chwilę miała nadzieję, że zaraz zobaczy Mike'a.

Z trudem wytłumaczyła sobie, że to niemożliwe.

Po chwili odgłos silnika oddalił się. Widocznie ktoś pomylił drogę...

Kochała Mike'a. Kochała go chyba o wiele bardziej, niż na to zasługiwał. Był przecież jej mężem, ojcem jej dzieci. Chociaż, prawdę mówiąc, nie sprawdził się w żadnej z tych ról. Mimo to brakowało go jej.

Cóż, świat nie stoi w miejscu. Może Dee miała rację?

Może rzeczywiście czas już wziąć się w garść i zacząć żyć na nowo?

Kątem oka dostrzegła ruch po drugiej stronie muru. Odwróciła głowę w tamtym kierunku.

Nash Gallagher zdejmował właśnie z głowy kask. Parę kroków od niego stał duży, błyszczący harley.

Uśmiechnęła się smutno. Nash należał do mężczyzn, dla których łatwo było stracić głowę. I ciężko byłoby później pogodzić się z jego odejściem.

Przed oczami stanął jej bukiet kwiatów, który Nash zostawił na schodach werandy...

Lawrance Fordham nigdy nie ofiarowałby jej takich kwiatów, była tego pewna. Co najwyżej róże z kwiaciarni. Był przecież tradycjonalistą na poziomie. Perfekcjonistą w każdym calu.

Pograżona w myślach, odkręciła kurek z wodą i zajęła się podlewaniem wysuszonej przez słońce trawy.

Nash oparł kask o kierownicę motocykla.

Było już późne popołudnie, ale słońce wciąż jeszcze stało wysoko na niebie. W ogrodzie panowała senna, leniwa cisza, przerywana tylko czasami monotonnym bzy-czeniem pszczoł. Cisza, jak z czasów jego dzieciństwa.

Jeszcze tydzień temu wszystko było proste. Przekonany był, że sensem jego życia może stać się praca w dżungli, odkrywanie nowych gatunków roślin. Czasami napisałby jakiś artykuł do czasopisma naukowego czy wygłosił go-ścienny wykład na jakimś uniwersytecie.

Jeszcze tydzień temu... Ale wtedy nie znał Stacey.

Rozejrzył się po ogrodzie.

Miejsce, jakich wiele, pomyślał. I choć ze wszystkich sił starał się w to uwierzyć, wiedział doskonale, że oszukuje samego siebie.

Czy naprawdę kiedykolwiek mógłby osiąść tu na stałe, jak sobie tego życzył dziadek? Czy mógłby związać się z tym miejscem do końca życia? Poświęcić wszystko? Zapomnieć o planach, marzeniach, zapomnieć o... sobie?

Jeszcze tydzień temu wiedziałby, jaka jest odpowiedź na wszystkie te pytania.

Ale wtedy nie znał Stacey...

A może - myśl jak błyskawica przebiegła mu nagle przez głowę - może mógłby namówić dziadka, żeby przekazał ogród Stacey? Był pewien, że Archie nie znajdzie nikogo, kto lepiej troszczyłby się o jego ukochane rośliny.

Stop, przestań myśleć o takich głupotach, skarcił się w duchu. Zdaje się, że i bez starego, zapuszczonego ogrodu Stacey ma dość swoich własnych kłopotów. To jasne...

W takim razie - rozemocjonowany umysł podpowiadał mu kolejne rozwiązanie - nic nie stoi na przeszkodzie, żebym został tu do końca lata i pomógł Stacey uporać się z najcięższą robotą. Mógłbym przecież wyremontować altanki, poprzycinać drzewka, uporządkować teren...

Nash, nadzwyczaj zadowolony ze swojego pomysłu, skierował się w stronę jednej z altanek.

W wysokiej, dawno nie koszonej trawie nieopodal

ścieżki, leżały w słońcu małe, wystraszone kociaki, pomiaukując cichutko. Ich matki nie było w pobliżu.

Stacey stała właśnie z pędzlem w ręku, zajęta malowaniem framugi w drzwiach do łazienki. Czasami miała wrażenie, że to wszystko - dom, dzieci, ogród - jest po prostu ponad jej siły, przerastają. Czyżby najzwyczajniej w świecie przestawała sobie dawać radę?

Otarła dłonią spocone czoło.

Niełatwo jest iść przez życie samej, kiedy w dodatku wszystko i wszyscy wokół czegoś nieustannie od ciebie oczekują, pomyślała. Jeszcze trudniej, kiedy samodzielność oznacza w gruncie rzeczy samotność. Wtedy życie powoli zaczyna przeobrażać się w koszmar... By przepędzić ponure myśli, energicznie zajęła się malowaniem.

W pewnej chwili jej uwagę przykuł jakiś ruch w okolicach muru. Kątem oka dostrzegła sylwetkę Nasha przeskakującego przez ogrodzenie, z tekturowym pudłem w rękach.

Czy on naprawdę musi chodzić półnagi i drażnić jej wygłodniałe zmysły? I czy, do cholery, nie mógłby wreszcie zacząć używać furtki, jak każdy normalny człowiek?!

- Stacey!

To, że wypili razem herbatę, nie upoważnia go przecież jeszcze do...

- Stacey! - powtórzył, nie zrażony brakiem reakcji z jej strony.

I czego, do diabła, może chcieć od niej tym razem?!

Nie obchodzi jej to nic a nic. Ani to, co też takiego taszczy w tym ogromnym tekturowym pudle.

- Jestem zajęta, Nash, może innym razem...
- Stacey, mam problem. Potrzebuję twojej pomocy.

Jasne, problem... Czy tak właśnie zwykle podrywa pan kobiety, panie Gallagher?

- Jeśli przyniosłeś kolejny bukiet kwiatów, to masz pecha. Skończyły mi się wazonny.

- To nie kwiaty. Stacey, spójrz!

Sprytnie, Nash, pomyślała. Tylko czyja naprawdę wyglądam na aż taką idiotkę?!

Nash, nie czekając już dłużej na odpowiedź, wbiegł do kuchni i bez chwili wahania otworzył lodówkę.

- A to co? Za kogo pan się, do diabła, uważa, panie Gallagher?! - Stacey znalazła się w kuchni zaraz po nim. Jej głos nie brzmiał zbyt przyjaźnie.

Nash, nie przejmując się chłodnym przyjęciem, wyciągnął z lodówki karton z mlekiem.

I wtedy je zobaczyła. Trzy, nie, cztery maleńkie kociaki, otulone bawełnianym podkoszulkiem Nasha i stłoczone lękliwie w rogu pudełka.

- Myślisz, że powinienem je ogrzać? - zapytał, potrząsając kartonem z mlekiem.

- Skąd je wzięłeś? I gdzie jest ich matka?!

- Nie wiem. Ostatnio widziałem ją kilka dni temu. Czekałem chwilę, licząc, że może się pojawi, ale kotki wyglądały na bardzo wygłodniałe i... Jak myślisz, powinienem podgrzać mleko? - powtórzył pytanie.

- Mleko... Tak, nie... Sama nie wiem. - Wyciągnęła z pudełka jednego kotka. Czarnego, ze śmiesznym białym krawatem pod mordką. - Ty na pewno musisz być chłopczykiem. .. Jak tam, masz ochotę na mleczko?

Wylała na spodeczek odrobinę mleka.

- Mamusiu, czy to nie Nash był przed chwilą... - usłyszała za plecami głos Clover. Zaraz za nią stanęła Rosie.
- Ojej, jakie maleńkie!

Niestety, stało się... Było już za późno, by bezboleśnie wybrnąć z sytuacji.

Stacey spojrzała na Nasha. Jej wzrok mówił: wielkie dzięki. Teraz to dopiero będzie zabawa.

Tak mi przykro, zupełnie o tym nie pomyślałem, wyczytała z jego spojrzenia.

Porozumienie bez słów, pomyślała z irytacją. I co jeszcze?

- Myślisz, że dadzą radę zlizać mleko ze spodeczka?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparł.

No pewnie! A czy pomyślał pan o tym, panie Gallagher, co będzie, jeśli nie uda im się przeżyć bez matki? Jak wtedy będą cierpiały Clover i Rosie? Czy wziął pan to pod uwagę?!

- Spróbujmy - usłyszała głos Nasha.

Wziął z jej ręki kociaka i postawił go na podłodze, obok miseczki. Po chwili to samo zrobił z resztą. Kotki, wiedzione instynktem, zanurzyły pyszczki w mleku i, z początku nieporadnie, później coraz śmieiej, wylizały całą zawartość spodka.

- No, to jesteśmy uratowani! - zawołał radośnie Nash, patrząc, jak zwierzaki, pomrukując cichutko z zadowolenia, układają się do snu.

- Owszem, na razie. - Stacey zdawała się nie podzielać jego zachwyty. - Ale co dalej? Jutro nie będzie mnie cały dzień, więc...

Fryzjer, Archie, wieczorem Lawrance, wyliczała szybko w myślach. I co pan teraz pocznie, szanowny panie Gallagher?

- Mógłbym zaglądać do nich co jakiś czas, jeśli zostawiłabyś mi klucze. - Klucze?! Stacey spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale Nash uśmiechnął się tylko rozbrajająco, sugerując, że jego myśli są czyste i niewinne. Po chwili jednak chyba zreflektował się, bo dodał: - A może lepiej będzie, jeśli zabiorę je do altanki?

- Nie! - Clover i Rosie były zgodne jak nigdy dotąd.

- Nie. - Stacey poparła dziewczynki. - Tu będą bezpieczniejsze.

- Dzięki. - Nash posłał jej jeden ze swych najbardziej zalotnych uśmiechów. - Czy mógłbym w takim razie, w zamian za opiekę nad kociakami, odwdzińczyć się koszem świeżych owoców?

Stacey roześmiała się.

- Dobrze wiem, co ci chodzi po głowie, Nash. Nie namówisz mnie na pieczenie kolejnego kruchego ciasta z brzoskwiniami.

- Nawet o tym nie pomyślałem. - Zaprzeczył z uśmiechem, sugerującym coś wręcz przeciwnego. - Ale skoro

o tym mowa, to rzeczywiście, nie wzgardziłbym filiżanką gorącej herbaty i kawałkiem pysznego brzoskwiniowego ciasta.

- Nie ma mowy, Nash. Naprawdę jestem zajęta. Muszę dokończyć malowanie tej przekłetej łazienki.

- Nie pomyślałem, przepraszam. Pewnie ci bardzo przeszkadzam?

Wstał, a wtedy jego wspaniałe, silne ramiona znalazły się dokładnie na wysokości jej wzroku.

Nie odchodź, krzyczał jakiś głos w jej wnętrzu. Nie odchodź, zostań!

- Nash...

- Tak?

- Czy gdybym zajęła się pieczeniem ciasta, byłbyś skłonny pomóc mi przy remoncie łazienki?

Czy byłby skłonny? Dla tych ogromnych oczu o barwie miodu pomalowałyby nawet cały dom! A za jeden uśmiech na jej twarzy wyremontowałyby wszystkie budynki w miasteczku!

- O ile, oczywiście, nie masz dzisiaj nic innego do roboty - dokończyła.

- Wszystko już zrobiłem. Od tej chwili jestem cały twój.

W jego wzroku wyczytała, że mówi serio i ma na myśli nie tylko pomoc przy remoncie.

- Na pewno? Jestem dopiero przy framugach...

- Malowanie framug jest moim ulubionym zajęciem

- oświadczył z poważną miną. W jego oczach pojawił się figlarny błysk.

Podszedł, by wyjąć pędzel z jej ręki. Na jeden krótki moment ich dłonie zetknęły się i, jakby spragnione dotyku, przywarły do siebie szczelnie.

Stacey poczuła, jak cała drży.

- Chodź, pokażesz mi, od czego zacząć - odezwał się po chwili milczenia Nash.

Nieśmiałym ruchem otworzyła drzwi łazienki.

W umywalce leżały kwiaty, te same, które Nash raniem zostawił na schodach werandy.

Teraz zanurzył w nich twarz, wdychając przez chwilę upojny zapach, po czym spojrzał na Stacey i wyjął z bukietu jeden dorodny słonecznik.

Stała, oparta o ścianę, trochę jakby onieśmielona i niepewna, próbując przewidzieć jego ruchy. On zbliżył się do niej i nie pytając o nic, włożył kwiat w jej włosy.

Zrobiła ruch, jakby chciała wyciągnąć słonecznik, zawstydzona nagłą śmiałością Nasha.

- Nie, zostaw... - Złapał ją za rękę. - W twoich włosach wygląda wspaniale. Ty wyglądasz wspaniale.

- Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie tak zachłannie, jakby czekał na tę chwilę od dawna.

W głowie aż huczało mu od natrętnych myśli, setki słów, których znaczenia nie chciał rozumieć i nad którymi nie chciał się zastanawiać. Zbyt długo już był niewolnikiem rozsądku i poczucia odpowiedzialności.

Pochylił się nad nią i pocałował. Słodko i czule.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stacey zamierzała właśnie dać wyraz swemu oburzeniu, kiedy na ustach nieoczekiwanie poczuła dotyk jego warg. Słodki i czuły. Miała wrażenie, że ziemia zatrzęsła się pod jej stopami.

Co on sobie, do diabła, wyobraża?! Pojawia się nie wiadomo skąd, zaprzęta swoją osobą całej jej umysł, potem rozmiękcza serce widokiem czterech bezbronnych kociąt, a kiedy ona traci nad tym wszystkim kontrolę, kładzie rękę na jej biodrze i całuje!

Oparła dłonie na jego ramionach, by móc wydostać się choć na chwilę z żelaznych objęć i wykrzyknąć mu to wszystko prosto do ucha. Ale zamiast tego, sama nie bardzo wiedząc jak i kiedy, przywarła do niego jeszcze mocniej.

Delikatnie przebiegła palcami po skórze jego szyi. Pod opuszkami palców wyczuwała słodkie, kuszące ciepło.

Musi w tej chwili przestać! Oboje muszą przestać!

Obiecała sobie przecież, że tym razem nie da ponieść się emocjom, że zachowa rozsądek i zimną krew. A zatem powinna...

A zatem przymknęła powieki i właściwie nie rozumie-

jąc, co nią kieruje, dotknęła dłonią jego włosów. Zadziwiła ją ich niesłychana miękkość.

Jakby w odpowiedzi, Nash objął jej plecy drugim ramieniem. Na twarzy poczuła jego gorący oddech.

Nie miała odwagi spojrzeć mu teraz w oczy. Bała się, że z jej spojrzenia mógłby wyczytać to, czego pod żadnym pozorem nie chciała mu zdradzić.

- Czy ty kiedykolwiek... - przerwał na chwilę, by uspokoić oddech.

Odsunęła się od niego na odległość wyciągniętych ramion. Rozedrgana, próbowała przywołać się do porządku.

- Czy ja kiedykolwiek co? - spytała drżącym głosem.

- Czy kiedykolwiek... - odezwał się ponownie - czy kiedykolwiek zdarzyło ci się jeść brzoskwinie prosto z drzewa?

- Co takiego?! - A co to, do diabła, za pytanie? W takiej chwili? Stacey odskoczyła od niego jak oparzona.

Kątem oka dostrzegła w drzwiach jakiś ruch.

Cichutko i spokojnie, z kociakiem w ręku, oparta o furtkę, stała jej starsza córka. Pytanie tylko, od jak dawna?

- Clover, kochanie, czy coś się stało? - Głos Stacey zabrzmiał nienaturalnie, bardziej matowo niż zwykle. Nash, lekko zdezorientowany, odwrócił się w kierunku drzwi.

- Kotek się obudził. Pomyślałam, że może znowu jest głodny - odezwała się dziewczynka. Stacey bezwiednie odetchnęła z ulgą. Nie na długo jednak. - Czy Nash będzie naszym nowym tatusiem?

Stacey odchrząknęła, skonsternowana. Dopiero po chwili odważyła się na jakiś ruch. Ostrożnie zdjęła ze swych bioder ramiona Nasha. Tym razem nie powstrzymywał jej.

Na jego twarzy malowało się wahanie, tak jakby nie umiał podjąć szybkiej decyzji - bieg schodami w dół, czy bardziej ryzykowny, lecz znacznie szybszy skok przez okno. Jednak było pewne, że marzył, by natychmiast znaleźć się daleko stąd.

- Nowym tatusiem? - Stacey powtórzyła za córką, nie bardzo wiedząc, co powinna właściwie zrobić. - Ależ skąd, kochanie... Byłam po prostu trochę smutna z powodu kociaków, które straciły mamusię, a Nash próbował mnie jedynie pocieszyć. To wszystko.

Clover nie wydawała się przekonana. Cóż, była przecież już blisko dziesięcioletnią panienką i zdaje się, że zaczynała właśnie rozumieć różnicę między pocieszeniem a... chwilą zapomnienia.

- Kiedy mama Sary Graham była pocieszana w ten właśnie sposób - odezwała się, i jak zwykle trudno było nie przyznać jej racji - to Sara miała potem nie tylko nowego tatusia, ale i maleńką siostrzyczkę.

Świetnie. Tego tylko teraz brakowało. Stacey rzuciła rozpaczliwe spojrzenie w kierunku Nasha, ale ten, jak gdyby nigdy nic, zajęty był głaskaniem kotka, leżącego na rękach Clover.

- A ty - usłyszała, jak zwraca się do dziewczynki - czy chciałabyś mieć maleńką siostrzyczkę?

- Nigdy w życiu. - Odpowiedziała zdecydowanie Clover. Stacey nadstawiła ucha. - Mam już jedną i wiem, jaki to koszmar... Co innego braciszek. Taki jak malutki Harry, na przykład.

Stacey, zamiast małego Harry'ego, chętniej widziałaby w swych ramionach słodziutką miniaturkę Nasha, ale mimo to odetchnęła z ulgą.

- Clover, włóż kotka z powrotem do pudełka - odezwała się stanowczo. Ta rozmowa powoli stawała się niebezpieczna. - I nie zapomnij o dokładnym wyszorowaniu rąk. Wodą i mydłem.

- Już idę. - Dziewczynka zrobiła krok do tyłu. - Nash, co mogło się przytrafić jego mamusi?

- Może jest ranna? - Widać było, że nie chce martwić dziewczynki.

- Ale... żyje? - W oczach Clover załśniły łzy.

- Na pewno, kochanie. - Nash podszedł i przytulił ją mocno. - Może najlepiej będzie, jak wrócę teraz do siebie i jej poszukam, co ty na to?

W spojrzeniu Clover pojawiła się wdzięczność, czego zupełnie nie można było powiedzieć o wzroku jej matki.

- Idź, jasne - odezwała się, trochę może zbyt napastliwie. - Poradzę sobie jakoś z tą przeklętą łazienką.

- Czy to oznacza, że z ciasta nici?

- Nadmiar słodczy mógłby okazać się dla ciebie zabójczy - odpowiedziała nieco dwuznacznie.

- Czyżby? Ale mimo to, nie pozwól, żeby owoce się

zmarnowały. - Spojrzał na nią z uśmiechem, zmierzwił włosy Clover i zniknął za drzwiami.

Stacey wciągnęła głęboko powietrze. Zdaje się, że na jakiś czas wystarczy jej mocnych wrażeń. I lepiej byłoby, gdyby Nash sam zajął się swoimi owocami, bo ona nie zamierzała odwiedzić go w najbliższej przyszłości. Ani nigdy później.

A niech to licha! Zupełnie nie rozumiał, jak mogło do czegoś takiego dojść.

Zdecydowanie nie powinien był jej całować. Nie powinien był dać się złapać w sidła namiętności. Nie tego przecież trzymał się całe życie, od czasu gdy uświadomił sobie, że dopóki jest sam, nikt i nic nie jest w stanie go zranić. Nigdy nie sprzeniewierzył się tej zasadzie... aż do dzisiaj.

Nash oparł głowę o opromieniony słońcem mur. Rozgrzane cegły niemal parzyły go w czoło. Zupełnie, jak wspomnienie niedawnego pocałunku, które płomieniem trawiło jego serce.

Zadziwiające, jak wiele zmian może zajść w ciągu zaledwie kilku dni. Zadziwiające, jak nagle można zacząć tęsknić za czymś, czego jeszcze do niedawna w ogóle nam nie brakowało.

Jak bardzo można tęsknić za ramionami kobiety, za jej ciepłem i dotykiem...

Zycie w dżungli miało jednak swoje uroki...

Jedyne, co może teraz zrobić, to jak najszybciej zapo-

mnieć. I pozwolić zapomnieć Stacey. Tak będzie najlepiej dla nich obojga.

Wyjeżdża w czwartek, jak postanowił. Nie będzie go tu co najmniej przez rok. Do czasu wyjazdu powinien się po prostu trzymać od nich z daleka, ot co. Z daleka, by nie zranić siebie, jej, a co może najważniejsze, dziewczynkę.

Podniósł się z miejsca.

Pójdzie i postara się odszukać tę kocicę, tak jak obiecał Clover. A kiedy ją odnajdzie, oddają w ręce szanownych pań O'Neill i jego noga więcej nie postanie w ich domu.

Stacey zajęła się malowaniem łazienki z całym zapachem, na jaki ją w tej chwili było stać. To przynajmniej nie wymagało myślenia. Jednak po dziesięciu minutach odłożyła pędzel na bok.

A może by tak zajrzeć do kociaków? - przebiegło jej przez myśl. Podeszła do rogu pokoju, gdzie stało pudełko. Spały smacznie.

Nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić, przysiadła na chwilę na fotelu.

I chociaż bardzo starała się sobie wmówić, że to nieprawda, wszystkie jej myśli nieustannie krążyły wokół Nasha, a ściślej mówiąc, wokół jego nagiego torsu i namiętnych, jakby wprost stworzonych do pocałunków ust.

Obiecała sobie, że jej noga więcej nie postanie w jego ogrodzie, ale ostatecznie, co winne są biedne brzoskwinie?

Aż przełknęła ślinę na myśl o słodkim, soczystym miąższu. .. Tak, zdecydowanie grzechem byłoby je tam zostawić.

Już po chwili znalazła się w ogrodzie Nasha. Wszystko wyglądało teraz zupełnie inaczej, niż kiedy była tu po raz ostatni.

To był ogród, jaki pamiętała z czasów jego świetności, kiedy jeszcze Archie miał dość sił, by o niego dbać.

Przystrzyżona trawa, wyrównane alejki, poprzycinane gałęzie drzew...

Co tu się, do diabła, dzieje? Po co to wszystko, skoro już wkrótce na terenie pojawią się buldożery i zrównają wszystko z ziemią?!

Kompletne zaskoczenie nie przeszkodziło jej jednak zauważyć krzaczka czarnej porzeczki nieopodal. Wyszukawszy wzrokiem największą chyba kiść, zerwała ją i podniosła do ust.

Wielkie nieba, co za woń! Tak, jednego naprawdę będzie jej żal - owoców, których smaku z niczym innym nie dało się porównać.

Stacey sięgnęła po kolejną kiść.

O, a to co? Teraz dopiero zauważyła, jak barwnie prezentują się jej dłonie na tle soczystej zieleni krzaczka. Ciemnofioletowe plamy na rękach i paznokciach nie wyglądały, jakby miały za chwilę zniknąć.

Cóż, najwyżej Lawrence Fordham pomyśli sobie jutro, że ma do czynienia z kompletną idiotką i będzie błagał Dee o odwołanie sobotniej kolacji. W pewnym sensie było jej to nawet na rękę.

Najedzona i objuczona owocami wszelkiego rodzaju, wróciła do domu.

Położyła dziewczynki nieco wcześniej niż zwykle, sama również umościła się w łóżku.

Ciepła letnia noc lub może raczej nadmiar wrażeń ostatnich dni spowodowały, że chwilę potem zasnęła.

Od kilku ładnych godzin Nash był na nogach, szukając we wszystkich okolicznych rowach i kępach traw śladów kocicy.

To prawda, mogła nie żyć. Ale co, jeśli leżała gdzieś ranna i cierpiąca?

Powoli zapadał zmierzch.

Właściwie Nash tracił już nadzieję, kiedy nagle, pod niewysokim drzewkiem, zobaczył odbłask kocich oczu. To była ona.

Pomiauując cichutko, potłuczona i obolała, leżała unieruchomiona szczękami czyichś sideł.

Stacey otworzyła powieki. Zdawało się jej, czy rzeczywiście usłyszała przed chwilą jakiś hałas?

Coś uderzyło o szybę. Poderwała się z łóżka.

- Nash?

- Stacey, otwórz! - usłyszała jego głos. - Przyniosłem kotkę.

- Żyje?

- A jak myślisz? - Czy naprawdę sądziła, że mogłby przynieść jej martwego kota? - Stacey, otwórz!

Dopiero teraz dotarło do niej, co się dzieje. Zbiegła po schodach, starając się przy tym nie obudzić dziewczynek.

- Lekarz powiedział, że trzeba dać jej trochę mleka i zaaplikować antybiotyk. Mam go tu ze sobą - odezwał się Nash, kiedy otwierała przed nim drzwi wejściowe.
- Powiedział, że lepiej będzie, jeśli kotka od razu znajdzie się w pobliżu swoich dzieci i upewni się, że są bezpieczne.

Stacey przerzuciła wzrok z Nasha na zawiniątko w jego dłoniach. Zwierzę wyglądało jak siedem nieszczęść.

- Jak udało ci się ją znaleźć?
- Była w miasteczku, koło kościoła.
- To przecież kilka ładnych kilometrów stąd! - zawołała Stacey z podziwem w głosie. Nash nie był tylko pewien, czy to uznanie należy się jemu, czy raczej dzielnej kotce.

- Złapała się w czyjeś wnyki, biedactwo. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdybym jej dzisiaj nie odnalazł. No nic...

Dopiero teraz Stacey dojrzała na jego dłoniach dość głębokie ślady zadrapań.

- Zdaje się, że i tobie się oberwało? - Chwyliła go za rękę. - Boli?

- A, to... Skąd, nawet nie zauważyłem - skłamał.

Stacey sięgnęła do kredensu, wyciągając z niego niewielką apteczkę. Ze środka wyjęła wodę utlenioną i kilka opatrunków.

- Jak podejrzewam, nie zdezynfekowałeś jeszcze niczym tych ran?

- Po co? Sidła wydawały się być całkiem czyste - próbował żartować.

Dotknęła rany nasączonym wacikiem.

- Musi trochę poszczypać... - W jej spojrzeniu było coś takiego, że Nash gotów był co wieczór wyruszać na poszukiwanie zaginionych zwierząt.

- Co tam, do wesela się zagoi... - Zacisnął zęby, by nie syknąć z bólu.

Czując dotyk jej chłodnych palców na swych nadgarstkach, potrafiłby znieść o wiele więcej.

Stacey odrzuciła do tyłu niesfornie opadające na twarz włosy. Przez jeden krótki ułamek sekundy jej miękkie pukle musnęły jego policzek. Pachniała mydłem i pastą do zębów i mógłby przysiąc, że nigdy w życiu nie czuł bardziej podniecającego zapachu.

- Jesteś głodny? - Oczywiście, że był. Jeszcze nigdy, przenigdy nie czuł się tak głodny, jak teraz. Ale to nie jedzenie było tym, czego potrzebował. Pragnął Stacey. Tu i teraz, natychmiast. - Jadłeś coś?

- Stacey...

- Może usmażyć jajecznicę? - Mówiła za dużo, wiedziała o tym. Zawsze, ilekroć była zdenerwowana, zachowywała się w ten właśnie sposób. Jedyne, czego teraz była pewna, to to, że na wszelkie sposoby musi go przy sobie zatrzymać.

- Stacey, pójdę już, jest późno...

Kucnął nad pudełkiem ze śpiącymi w środku kotkami. Po chwili i ona znalazła się tuż obok.

- Stacey... - Zamierzał powiedzieć jej o czwartkowym wyjeździe, ale kiedy obróciła się w jego kierunku,

słowa zamarzyły mu na ustach. Położył dłoń na gorącym policzku Stacey.

- Stacey... -powtórzył.

- Dee! - usłyszał w odpowiedzi. - A co ty tu robisz?!

W drzwiach wejściowych stała niska kobieta.

- Przeprowadziłam samochód - odparła, najwyraźniej zaskoczona nie mniej od nich obojga. - Chciałam wrzucić kluczyki pod wycieraczkę, ale kiedy zobaczyłam światło, pomyślałam, że coś się stało.

- Skądże. - Stacey czuła się jak nastolatka przyłapaną przez matkę na sekretnym pocałunku z chłopakiem z sąsiedztwa. - Nie, wszystko w porządku. To z powodu kota.

- Kota? - Dee nie spuszczała wzroku z Nasha. - Przecież ty nie masz kota.

- To kotka z ogrodu Archiego. Ma małe. - Stacey czuła, że to tłumaczenie może wydawać się nieco pokrętnie. - Chcesz jednego? Harry by się ucieszył.

- Nie, dziękuję - odparła Dee z grobową miną. Nawet nie zerknęła w stronę pudełka. - A od kiedy to kotka z małymi, założywszy nawet, że to prawda, wymaga budzenia całego domu w środku nocy?

- To był szczególny wypadek. - Tym razem do akcji wkroczył Nash.

- A pan jest... - Dee obrzuciła go chłodnym, badawczym spojrzeniem.

- Nash Gallagher - przedstawił się, wyciągając rękę w jej kierunku. Gest został zignorowany.

- Nash pracuje w ogrodzie Archiego. - Stacey starała

się jeszcze uratować sytuację. - Pilnuje terenu przed przyjazdem koparek.

- Chcesz powiedzieć, że jest po prostu stróżem?

- Dee!

- W porządku, Stacey. - Dotknął jej ramienia, chcąc ją uspokoić. I zwracając się do Dee, dodał: - To nie jest nic, czego musiałbym się wstydzić. Tak, proszę pani. Pracuję jako robotnik w ogrodzie Archiego Baldwina. A Stacey była na tyle miła, że zgodziła się zająć biednymi kociakami.

- Nie wątpię. Odkąd pamiętam, zawsze miała słabość do pokrzywdzonych zwierząt i dobrze umięśnionych mężczyzn bez mózgu.

Nie do wiary, Stacey miała wrażenie, że słyszy własną matkę. Ze swą srogą miną i lodowatym spojrzeniem, Dee nawet wyglądała jak szacowna matrona.

- Pozwól, Nash, że ci przedstawię. To moja starsza siostra, Dee Harrington. Jest właśnie w drodze na lotnisko.

- Miło mi, pani Harrington - odezwał się, lecz widząc zniesmaczoną minę Dee, skierował się do wyjścia. - Pójdę już, Stacey.

- Ale... miałam nadzieję, że może zostaniesz na śniadaniu? - Odwróciła się, jakby chciała go zatrzymać.

- Innym razem. - W towarzystwie przemiłej pani Harrington nie mógłby przełknąć ani kęsa. - W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

- Czyli gdzie? - syknęła Dee, gdy tylko drzwi zamknęły się za Nashem.

- Mówiłam ci, że pracuje w ogrodzie za murem.
- Nie pytam, gdzie pracuje, tylko gdzie sypia...
- Nocuje w namiocie, który rozstawił w ogrodzie, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

- I zwyczajem stało się, że wpada do ciebie nad ranem na śniadanie?

- Dee, proszę cię, przestań. Oczywiście, że nie. To nie jest tak, jak myślisz.

- Więc jak, wytłumacz mi, proszę. - Dee najwyraźniej postanowiła polecieć następnym samolotem.

- Nash znalazł w ogrodzie małe kotki. Przyniósł je do mnie. Spędził całe godziny na poszukiwaniu ich matki, a kiedy ją odnalazł, przyniósł najszybciej, jak to możliwe. To wszystko.

- Moja biedna, mała siostrzyczka... Czy ty się naprawdę nigdy niczego nie nauczysz? - Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu. - Nie mogę w to uwierzyć! Przecież on jest dokładnie taki jak Mike. Kulturysta pozbawiony mózgu. Wtedy przynajmniej usprawiedliwiało cię to, że byłaś młoda, ale teraz?

- Dee, posuwasz się za daleko!

- Daj spokój, do diabła! Widziałam, jak na niego patrzyłaś. Widziałam, jak on patrzył na ciebie! Tylko nie mów mi później, że cię nie ostrzegałam.

Stacey spuściła głowę. Nie miała już sił walczyć ze swoją siostrą.

- Nie rozumiesz? Dla niego byłaby to tylko zabawa. Wakacyjna przygoda, jeśli wolisz. - Dee najwyraźniej nie

zamierzała bawić się w dyplomację. - Skończy się praca, on wyjedzie, a ty zostaniesz ze złamanym sercem. I nie zaprzeczaj, znam cię.

Przez chwilę obie milczały, każda zajęta swoimi ponurymi myślami.

- Nie zapominaj Stacey, że jesteś matką. Musisz być odpowiedzialna - Dee odezwała się ponownie. - A nawet jeśli on postanowiłby zostać, to co? Jaka przyszłość mógłby ktoś taki zapewnić tobie i dziewczynkom? Znalazłabyś się w tym samym punkcie wyjścia, co z Mikiem w dniu ślubu. Ale nie zapominaj, że teraz masz już trzydzieści lat.

- Dwadzieścia osiem - uściśliła Stacey. Przynajmniej jeszcze przez najbliższe dwa tygodnie. - Dee, uspokój się. Nash wyjeżdża za dzień czy dwa, a ja wybieram się na spotkanie z Lawrence'em, pamiętasz? Dzisiaj wieczorem.

- W porządku. - Dee jakby odetchnęła z ulgą. - Proszę cię jeszcze o jedno, siostrzyczko. Połóż się spać. Odpocznij. Nie możesz przecież wyglądać jutro jak zdjęta z krzyża.

- W porządku, Dee. Zrobię, jak mówisz. Do zobaczenia po powrocie. I miłej zabawy w Paryżu!

O dwa słowa za dużo...

- Ja nie jadę tam się bawić! - Dee nie posiadała się z oburzenia. - Jadę pracować. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, traktuję życie poważnie. I ciebie też gorąco do tego namawiam.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Stacey czuła się nieludzko zmęczona. W głowie aż huczało jej od natrętnych myśli, a jedna była dziwaczniejsza od drugiej.

Nie poddawaj się, Stacey, nie pozwól umrzeć swoim snom... Weź się w garść, powinnaś być odpowiedzialna... Czuła, że jeszcze chwila, a zwariuje.

Wstała z łóżka i, chociaż wcale nie zamierzała tego zrobić, odsłoniła zasłonkę, szukając w ciemności odblasku światła po drugiej stronie muru.

Za dzień, dwa, Nash odejdzie tam, skąd przyszedł. Może i ona powinna zrobić to samo?

A może, wzorem swej starszej siostry, powinna teraz usiąść nad kartką papieru i sporządzić listę? Dee byłaby z niej na pewno dumna...

Listę tego, co chce osiągnąć w życiu, co naprawdę jest dla niej ważne, poczynając od rzeczy najważniejszych, poprzez te mniej ważne, a skończywszy na kompletnych głupotach, jak... Jak co, na przykład?

Sięgnęła ręką po swój stary notes, leżący na nocnym stoliku, tuż obok łóżka. Wyrwała jedną z kartek. Szybkim ruchem nakreśliła na niej kilka słów i aż uśmiechnęła się sama do siebie, czytając je ponownie.

- Plan życia Stacey O'Neill - usłyszała swój własny głos. - Przespać się z Nashem Gallagherem, zanim stąd wyjedzie.

W porządku, pomyślała. Ten punkt należy zaliczyć raczej do kategorii kompletnych głupot, nie mniej jednak była to pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy.

- Nie stracić domu - brzmiał kolejny punkt. - Skończyć remont łazienki, by móc wynająć pokój. Poślubić Lawrence'a Fordhama, ale tylko wtedy, kiedy oznaczałoby to, że dzięki niemu uda się zatrzymać dom. I ostatnia rzecz, założyć własną szkółkę roślin egzotycznych.

Zamyśliła się. Właściwie od razu mogłaby wykreślić punkty, które są kompletnie bez sensu i te, które są zupełnie nierealne. Po co niepotrzebnie rozbudzać nadzieje?

Pod punktem pierwszym i piątym narysowała grubą, czerwoną linię.

- Od razu lepiej - powiedziała cicho sama do siebie. W jej głosie pobrzmiwał smutek.

- Nic mi nie grozi, jeśli wejdem?

Stacey szybko zamknęła notes. Pomijając treść zapisów, już samo zajmowanie się czymś takim w słoneczne letnie przedpołudnie mogło być odebrane jako szaleństwo.

A przecież od tej chwili postanowiła być zrównoważoną, odpowiedzialną i pewną siebie kobietą. Kobieta, która twardo stąpa po ziemi.

Uniosła głowę. Jedno spojrzenie jego niebieskich oczu i... i ponownie musiała wczepić się w tę ziemię pazurami.

To zresztą pewnie z powodu lekkiego porannego chłodu poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła, a całe ciało przenika elektryzujący dreszcz.

- Grozi? A to z jakiego powodu? - Starła się, by jej głos brzmiał spokojnie i obojętnie.

Nash poprawił dłonią włosy, które niesfornie opadły mu na czoło, wystawiając tym samym silną wolę Stacey na najcięższą próbę.

- Twoja siostra nie pochwała, zdaje się, moich nocnych wizyt - odezwał się z uśmiechem. Stacey również roześmiała się. - Myślałem, że może na straży twego honoru postawiła jakiegoś tresowanego wilczura.

- Myślę, że Dee nie miała na myśli tylko nocnych wizyt. - I trudno odmówić jej racji, dodała w duchu. Nash Gallagher, od chwili, kiedy tylko się pojawił, oznaczał same kłopoty. - Ale nie, nie martw się. Dee jest w drodze do Paryża.

- Ach tak? Czy to jakiś dłuższy wyjazd? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Przykro mi, wraca jutro rano. Pojechała w interesach. - Jego brwi uniosły się wysoko. - Dee jest dyrektorem sprzedaży w sieci sklepów spożywczych Lawrance'a Fordhama.

- Ach tak? Właściwie nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zaskoczyło.

- Tu są klucze. - Podała mu je ostrożnie, jakby bojąc się, że jakikolwiek dotyk z jego strony może grozić alergią. Mimo to ich dłonie zetknęły się i przez jeden krótki ułamek sekundy Stacey poczuła się jak w niebie.

- Przeniosłam koty do salonu. Chciałam, żeby czuły się... swobodniej. Zanim dziewczynki wrócą ze szkoły, powinnam już być z powrotem.

- Nie będzie cię cały dzień? - W jego głosie słychać było coś więcej niż tylko zwykłe zdziwienie.

- Nie co dzień mam do dyspozycji samochód. Muszę załatwić kilka pilnych spraw. A o co chodzi?

- Nie, nic. Miałem nadzieję, że zjemy razem obiecaną jajecznicę.

- Niestety. Właściwie już jestem spóźniona. - Sięgnęła po torebkę leżącą na sofie. - Ale ty sobie nie przeszkadzaj. Jajka są w lodówce.

Wiedziała co prawda doskonale, że pewnie nie to miał na myśli, ale w świetle rześkiego poranka wszystko wydawało się o wiele prostsze. Poza tym czeka ją dzisiaj obiecujące spotkanie z szefem siostry i doprawdy, nie może zwracać sobie teraz głowy Nashem.

- W czajniczku jest świeżo zaparzona herbata, jeśli miałbyś ochotę - rzuciła jeszcze, prawie biegnąc do drzwi.

- Stacey! - A wydawało się, że jest już bezpieczna, odporna na urok tego faceta. - Skoro masz zajęty cały dzień, to może moglibyśmy spotkać się później? Powiedzmy wieczorem po kolacji, kiedy już położysz dziewczynki?

Zycie było naprawdę ciężkie.

- Nie, Nash, to wykluczone. Dzisiaj wieczorem jestem już umówiona. - Czy naprawdę to powiedziała?

- Ach tak?

- To nic wielkiego, festyn w mieście. Obiecałam, że będę. - Stacey uśmiechnęła się niepewnie. - Może następnym razem...

Oboje wiedzieli doskonale, że ten „następny raz” nigdy się nie zdarzy.

Ponownie odwróciła się w stronę drzwi. Chciała wyjść jak najszybciej, zanim na dobre uświadomi sobie, co traci.

- Miałem tylko zamiar odwdzińczyć się za wczorajszą fachową pomoc lekarską - dobiegł ją głos Nasha.

- Drobiazg. Dla każdego innego zrobiłabym to samo.

- To nie zabrzmiało zbyt miło, wiedziała o tym. Ale, do diabła, ona sama również nie była w miłym, pogodnym nastroju! Była samotną matką dwóch dorastających córek i próbowała jakoś ułożyć sobie życie na nowo. To wszystko. A pan Gallagher nie pasował do żadnego z punktów w jej planie na życie.

- Na stole stoi ciasto brzoskwińowe. Częstuj się, kiedy będziesz miał ochotę.

Spojrzał na nią poważnie.

- Stacey... Czy wczoraj zrobiłem coś nie tak?

- Nie, dlaczego? Po prostu wczoraj... było wczoraj.

- Spojrzała na zegarek, bardziej po to, by uniknąć wzroku Nasha, niż po to, by rzeczywiście sprawdzić godzinę. - Naprawdę muszę już lecieć.

I szybko zamknęła za sobą drzwi.

Nash odprowadził ją wzrokiem. Kiedy wsiadła do samochodu i po chwili zniknęła za zakrętem, odszedł od okna.

Zajrzał do kotów. Właściwie wszystko wydawało się być w porządku. Zjadł więc jajecznicę, wypił filiżankę herbaty, a na deser spróbował kawałek ciasta.

Kiedy już pozmywał naczynia i zaczął zbierać się do wyjścia, w drzwiach wejściowych odezwał się dzwonek.

- Czy dobrze trafiłam? - W progu stała śliczna, młoda, dwudziestoletnia może dziewczyna. - Przeczytałam ogłoszenie o pokojach do wynajęcia. Czy to tutaj?

Jeszcze jakiś tydzień temu Nash byłby wniebowzięty, że może wyświadczyć przysługę kobiecie o urodzie greckiej bogini. Była jak najbardziej w jego typie. Ale on pragnął Stacey. I tylko jej.

- Owszem, wprawdzie trafiła pani pod właściwy adres, ale niestety, nie mogę pani pomóc. - Miał wrażenie, że on również wpadł jej w oko. - Musi pani pofatygować się jeszcze raz. Właścicielka domu powinna wrócić koło czwartej.

- Czy w takim razie mogę liczyć na telefon, jeśli zostawię panu swój numer? - odezwała się zalotnie, mrużąc przy tym oczy. Nash nie dałby głowy, czy aby na pewno miała na myśli wynajęcie pokoju.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał bez entuzjazmu.

Stacey wyszła od fryzjera całkiem zadowolona. W końcu nie codziennie miała okazję czuć się jak królowa angielska. Ułożona fryzura, manicure,, delikatny i twarzowy makijaż...

Z salonu fryzjerskiego udała się prosto do banku.

Chciała dowiedzieć się, jakie są szanse uzyskania kredytu na założenie szkółki roślin egzotycznych.

Nie była do końca pewna, czy to fryzura, makijaż, czy może raczej coś zupełnie innego sprawiło, iż nie wysmiano jej tam od razu. Co więcej, urzędnik w banku był na tyle miły, że poprosił, by wróciła za kilka dni, gdy już będzie miała gotowy biznesplan. Plan na życie, jak widać, nie wystarczał.

Prosto z banku pojechała do szpitala, odwiedzić Archiego Baldwina. Staruszek nie wyglądał najlepiej, ale wyraźnie ucieszył się na jej widok.

- Widzę, że twoja sytuacja finansowa uległa poprawie, mam rację?

- Dlaczego? - zapytała nieco zaskoczona, całując go serdecznie w policzek.

- Nie przyjechałaś tu przecież rowerem. Przynajmniej nie sprawiasz takiego wrażenia.

- Ach, to... - zaśmiała się. - Pożyczyłam samochód od siostry.

- A ja już miałem nadzieję, że może w twoim życiu pojawił się jakiś nowy mężczyzna.

- W takim razie przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Gdybym tylko miał kilka lat mniej... Nie pozwoliłbym tak uroczej, młodej wdowie jak ty, umartwiać się w samotności. - Roześmiał się, lecz po chwili jego śmiech przeszedł w suchy kaszel. - No, ale powiedz lepiej, jak tam ogród.

- Prawdę mówiąc, doskonale. Archie, co się dzieje?

Najpierw słyszę, że w ogrodzie niedługo ma się rozpocząć budowa, a potem ktoś stara się przywrócić mu jego dawną świetność, pieląc grządki, kosząc trawę i przycinając drzewa. Przecież to kompletnie nie ma sensu.

- Co ty powiesz? Rzeczywiście ktoś się tym wszystkim zajął? - Na twarzy starszego pana pojawił się promienny uśmiech. - No, no, no...

- Zamierzam ruszyć ze swoją szkółką roślin egzotycznych. Pamiętasz, opowiadałam ci o tym. Muszę wiedzieć, co zamierzasz.

- Wreszcie się zdecydowałaś? To doskonale. A jeśli chodzi o ogród, musisz rozmawiać z tym, kto się nim teraz zajmuje. Jak mu na imię?

- Nash. Nash Gallagher. - Patrzyła uważnie, ale na dźwięk tego nazwiska na twarzy Archiego nie pojawiło się absolutnie nic. - Mogę cię o coś spytać, Archie? Komu sprzedałeś ogród? Może tam dowiem się czegoś więcej?

Na twarzy starca pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Nie sprzedałem ogrodu, Stacey.

- Więc?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich korpulentna salowa.

- Czas już kończyć odwiedziny, panie Baldwin. Zaraz będzie obchód.

Kobieta wyglądała na osobę, której lepiej się nie sprzeciwiać. Stacey posłusznie wstała z miejsca.

- Porozmawiaj jeszcze raz z tym, jak mu tam, Galla-

gherem. Dowiedz się, co zamierza. A potem przyjdź i opowiedz mi o wszystkim! - zdążył jeszcze zawołać Archie, zanim salowa zamknęła drzwi za Stacey.

Nie sprzedał ogrodu? Więc co się tu, do diabła, dzieje?

Zdaje się, że biedny Archie wiedział na ten temat nie więcej niż ona.

Na twarzy Nasha pojawił się czuły uśmiech, kiedy usłyszał podekscytowane głosy dziewczynek. Wracały właśnie ze szkoły. Spieszyły się, by sprawdzić, co słychać u kocie rodziny.

Już prawie kończył. Sięgnął po butelkę z wodą i wypił kilka łyków, resztę wylewając na spocony kark. Dzień był naprawdę gorący.

- Mamusiu, czy Nash przyjdzie do nas dzisiaj wieczorem? - Stacey usłyszała głos Rosie.

Zadziwiająco, jak szybko go zaakceptowały i polubiły. Zadziwiająco i przerażająco zarazem.

- Dzisiaj wieczorem wychodzę, pamiętacie? Vera przyjdzie was popilnować. Obiecała, że przyniesie wam jakieś nowe kreskówki. Z całą pewnością będziecie się dobrze bawić.

Vera była miłą, młodą dziewczyną z naprzeciwka, która zawsze chętnie godziła się zostawać z dziewczynkami, ilekroć Stacey ją o to poprosiła. Współpraca może dlatego układała się tak dobrze, że takie sytuacje zdarzały się na szczęście bardzo rzadko.

Na szczęście albo raczej niestety, dopowiedziała sobie w duchu Stacey.

- A może Nash także mógłby przyjść i pooglądać z nami? - Rosie nie dawała za wygraną.

Cóż, Verze pewnie również spodobałby się ten pomysł. Nie mówiąc już o Nashu, pomyślała ponuro.

Robiło się późno. Stacey w biegu ściągnęła dzinsy.

Gdzie się, do cholery, podziała ta przekłeta sukienka?! Otworzyła gwałtownie drzwi łazienki i... zamarła.

Calusieńka łazienka, od podłogi, aż po sufit pomalowana była na piękny, słoneczny, żółty kolor.

Zupełnie, jak pole słoneczników, przebiegło jej przez myśl. Takich samych, jakie były w bukietcie od Nasha, który zresztą stał właśnie pośrodku, z pędzlem w ręku.

- Nash... Nash... - powtórzyła, jakby nie potrafiąc wykrztusić z siebie nic więcej. - Nie musiałeś...

- Wiem - odpowiedział. - Ale twoje ciasto z pewnością było tego warte.

- Naprawdę? - Więc próbował! - To znaczy, chciałam powiedzieć... Pewnie jesteś nieludzko zmęczony?

- Miałem nadzieję, że zdążę przed twoim przyjściem, ale w takim układzie dokończę jutro. - Zebrał pędzle i zamknął puszkę z farbą. - Zaraz będziesz mogła zacząć się szykować, chociaż moim zdaniem, i tak wyglądasz świetnie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że przed chwilą zdjęła dzinsy.

Nash naprawdę był bardzo zmęczony. Najpierw ta nieprzespana noc, później całkiem pracowite popołudnie...

Przypomniał sobie minę Stacey. Już dawno nie był z siebie tak dumny, jak dzisiaj, widząc jej zachwycone spojrzenie, kiedy otworzyła drzwi łazienki.

Miał nadzieję, że ilekroć ponownie spojrzy na świeżo pomalowane ściany, przypomni sobie jego. Jego i chwilę, kiedy się pierwszy raz pocałowali.

Pierwszy i ostatni, skwitował gorzko w duchu.

Zresztą, to nie było tylko to. Równie ważna, a może nawet ważniejsza była troska, z jaką zawsze myślał o Stacey i jej dwóch małych córeczkach. Tak bardzo pragnął się nimi opiekować, dodawać im otuchy i pilnować, by nigdy, przenigdy nie pozwoliły umrzeć swym, najskrytszym nawet, marzeniom. Pragnął przy nich być.

Odkręcił butelkę. Może łyk zimnej wody pomoże mu dojść do siebie, ostudzić rozpalone serce? A może chociaż powinien dać zajęcie dłoniom, które nie mogą zapomnieć dotyku gładkiej, jedwabistej skóry pewnej kobiety...

Przejechał obiema rękoma po włosach, zaczesując je gładko do tyłu. Przez chwilę trzymał dłonie splecione na karku, jakby zastanawiając się, co właściwie mógłby ze sobą teraz począć, kiedy jakaś myśl, jak olśnienie, pojawiła się nagle w jego głowie.

Studentka! Dziewczyna, która przyszła dzisiaj przed południem w sprawie wynajmu pokoju.

Zupełnie, ale to zupełnie zapomniał o tym wspomnieć Stacey, a przecież mogło to być dla niej bardzo ważne!

Może nawet tak ważne, że powinien natychmiast, nie tracąc ani chwili, wrócić do niej do domu, złapać ją jeszcze przed wyjściem i... o wszystkim, począwszy od studentki, opowiedzieć?!

Stacey nie była do końca przekonana co do jedwabnego żakietu, który zostawiła jej siostra. To samo zresztą dotyczyło nowej fryzury, którą rano wyczarował na jej głowie fryzjer. W tym wszystkim po prostu nie była sobą.

Zdaje się jednak, że Lawrance Fordham mógłby poczuć się obrażony, gdyby na festynie pojawiła się w swojej najnowszej sukience z indiańskimi aplikacjami i z włosami związanymi z tyłu głowy zwykłą wstążką.

Okręciła się jeszcze parę razy wokół własnej osi, jakby chcąc oswoić się z nowym wyglądem. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Stukając wysokimi obcasami, ostrożnie i nieco chwiejnie podbiegła do drzwi. W progu stał Lawrance.

- Och, dziękuję! - zawołała, na widok bukietu czerwonych róż. Była pewna, że to robota Dee.

- Drobiazg - odezwał się mężczyzna, zadowolony, że pozbył się kwiatów, nie musząc jednocześnie wygłaszać przy tym jakiejś miłej formułki. Tak, jak to pewnie sugerowała mu Dee.

- Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie, Lawrance. Opiekunka do dzieci jeszcze się nie pojawiła.

- Przepraszam, ale nie byłem pewien, gdzie mieszkasz. Wolałem się nie spóźnić. Uroczystość zaczyna się o siódmej. Cenię punktualność.

- Jednak mamy jeszcze mnóstwo czasu. - Stacey spojrziała na zegarek. - Poznaj moje córki. Clover i Rosie, podejdźcie tu, proszę.

- Clover i Rosie... Jak słodko. - Zdobył się na uprzejmość Lawrence.

Dziewczynki spojrzały po sobie wiele mówiącym spojrzeniem.

- Rozgość się, proszę. Zajmę się tylko kwiatami i zaraz wracam. - Stacey ukradkiem pogroziła palcem obu córkom i zniknęła w kuchni.

Otworzyła kredens, wyjęła wazon i odkręciła kran z zimną wodą.

- Zupełnie nie musiałeś tego ro... - zawołała, odwracając się w stronę salonu. Nagle słowa zamarły jej na ustach. W drzwiach wejściowych stał Nash.

W rozciągniętym podkoszulku, ze śladami farby na dłoniach i z rozwichrzonymi, stale opadającymi na czoło włosami wyglądał jak mały, nieporadny chłopczyk. Kompletne przeciwieństwo sztywnego i uroczego pana Fordhama, odzianego w elegancki garnitur i nieskazitelnie białą, aż sztywną od krochmalu koszulę.

Obaj panowie mierzyli się przez chwilę spojrzeniami.

- Och, Nash... - z trudnością wykrztusiła Stacey. - Przyszedłeś sprawdzić, co u kotów? Zdaje się, że wszystko w porządku.

- Ładny bukiet. - Słysząc było, że i on ma pewne kłopoty z głosem. - I ładna fryzura. Jakoś nie zauważyłem jej wcześniej. Pewnie z powodu tego malowania.

Policzki Stacey zrobiły się czerwone.

Widząc to, Lawrence podszedł i uspokajająco dotknął jej ramienia, jakby podświadomie starając się zasygnalizować otoczeniu: „ta pani jest ze mną”.

Stacey cofnęła rękę.

- Więc o co chodzi, Nash? - odezwała się ponownie, tym razem jakby nieco ostrzej.

- O nic - odpowiedział, wręczając jej jednocześnie jakiś zwitek papieru. Jego głos zabrzmiał chłodno i nieprzyjemnie. - Dzisiaj rano był tu ktoś w sprawie pokoju do wynajęcia. Zapomniałem powiedzieć ci o tym wcześniej. Proszę.

Mówiąc to, podszedł do niej i otwierając jej dłoń, położył na niej kartkę papieru.

Stacey stała jak sparaliżowana. Gdy zbliżył się, poczuła jego zapach. Była to zmysłowa mieszanina woni ziemi, trawy, słońca i czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Jedyne, o czym teraz marzyła, to przyłgnąć do niego mocno całym ciałem i pozwolić się całować, całować, całować...

- To była jakaś studentka. Zostawiła swoje nazwisko i numer telefonu - dobiegł jej uszu głos Nasha.

- Nash... - odezwała się. Jak miała mu teraz wytłumaczyć, że nie wspomniała mu o wolnych pokojach na górze nie dlatego, że nie chciała go widywać, ale z zupełnie innego powodu... - To nie jest tak, jak ci się wydaje. Myślałam po prostu o kimś na stałe. Ty zamierzałeś przecież niedługo wyjechać, więc...

- Nie ma potrzeby, byś się tłumaczyła - przerwał jej

lodowato. I spoglądając na Lawrance'a, dodał: - Rozumiem doskonale, o co chodzi. Pomyliłem się, to wszystko.

Jakby nagle coś sobie przypominając, sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej klucz.

- Proszę, to również należy do ciebie.

- Ależ Nash...

- Niestety, nie będę mógł jutro zaopiekować się kotami. - Po tych słowach odwrócił się i nie patrząc na nikogo, zniknął za drzwiami.

- Nash! - Zrobiła kilka kroków, jakby chciała go gościć. Po chwili jednak zatrzymała się. Nash nie obejrzał się za siebie.

Kompletnie zaskoczony rozwojem sytuacji Lawrance rzucał dezorientowane spojrzenia to na Stacey, to na drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Nash.

- Nash... - Tym razem z ust Stacey dobyło się już tylko żałosne westchnienie. Było jej najzupełniej obojętne, co sobie pomyśli o tym wszystkim ten wymuskany dyrektor z gładko zaczesaną grzywką. Prawdę mówiąc, w ogóle jej nie obchodził. Jedyne, co w tej chwili widziała, to malejąca z każdą sekundą sylwetka Nasha.

Więc dobrze, pozwoli mu odejść. Nie ma czasu, żeby mu teraz cokolwiek wyjaśniać. Jest umówiona. Obiecała. Ale niech no tylko spotka go jutro na swojej drodze! Wtedy będzie musiał wysłuchać tego, co ma mu do powiedzenia, już ona tego dopilnuje!

Na ścieżce pojawiła się Vera.

Stacey zerknęła na zegarek.

- Więc jak, idziemy? - rzuciła, roztrzęsiona jeszcze, w stronę Lawrance'a.

Przepuścił ją w drzwiach, po czym pokierował do zaparkowanego na podjeździe samochodu. Pewnym ruchem człowieka sukcesu otworzył przed nią drzwi czerwonego mercedesa.

Prawdopodobnie powinna być pod wrażeniem. Nie była. Prawdę mówiąc, na widok tego wysmakowanego luksusu zaczynała ją już powoli mdlić.

Stokroć, tysiąckroć bardziej wolałaby iść teraz dokądkolwiek na piechotę z Nashem, niż jechać tym czerwonym cackiem z gogusiowatym szefem swej siostry.

Co gorsza, najprawdopodobniej Nash był teraz przekonany, że randki z łysiejącymi milionerami są pewnie stałym punktem jej codziennych zajęć i że wszystko, co do tej pory o niej wiedział, należało poddać rewizji.

- Wygląda na to, że upały potrwają jeszcze jakiś czas.
- Oczywiście, pogoda! Lawrance był zbyt dobrze wychowany, by pytać ją o Nasha. Chociaż z całą pewnością aż skręcało go z ciekawości, kim też mógł być mężczyzna, który otwiera sobie drzwi domu bez pukania, zwraca się do niej po imieniu i na dodatek, niczym obrażony kochanek, zwraca jej pęk kluczy.

- Nie mam pojęcia, nie słuchałam ostatnio żadnych prognoz - odparła beznamiętnie.

Ale z pewnością postaram się nadrobić ten brak do soboty, dodała w duchu. Wtedy przynajmniej część wieczoru powinna być udana.

- Miałbyś coś przeciwko, gdybym otworzyła okno?
- Nie ma potrzeby - odezwał się z dumą w głosie, naciskając jednocześnie jakiś guzik pod kierownicą. - Klimatyzacja. .. Dobrze wiem, jak wy, kobiety nie znosicie potarganych fryzur.

Wy, kobiety... Stacey omal nie prychnęła kpiąco.

Nie wiedział nic, absolutnie nic! Ale nawet nie starała się wytłumaczyć temu Casanovie, że zamiast jego bezdusznej klimatyzacji, stokroć bardziej wolałaby poczuć we włosach podmuch świeżego powietrza, a na twarzy, zamiast warstwy pudru, krople ciepłego, letniego deszczu.

Nie starała się, bo to nie Lawrence Fordham był tym, na którym jej zależało.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie minęła chwila, jak Nash znalazł się pod starym murem, oddzielającym posiadłość Satcey od ogrodu Archiego. Był zbyt roztrzęsiony, by robić teraz coś sensownego. Dlatego po prostu oparł się plecami o mur, próbując pozbierać rozgorączkowane myśli. A miał o czym myśleć.

Całe szczęście, że zdążył się w porę opanować i nie strzelił tego bezczelnego elegancika prosto w szczękę, kiedy tamten chwycił Stacey za ramię. A on sam chyba tylko wie, jak wielką miał na to ochotę.

Gdyby nie okazał się takim tchórzem, wykazał się odrobina odwagi, powiedziała by Stacey, co myśli o tym wszystkim. O tej misternej fryzurze, starannym makijażu i eleganckich ciuchach.

Czy ona naprawdę nie widzi tego, że jest piękna? I żeby to podkreślić, nie potrzebuje niczego, absolutnie niczego. Czy nie wie, że najładniej jest jej w zwykłym podkoszulku, dżinsach i z włosami związanymi z tyłu w prosty węzeł? A ślady farby na smukłych, delikatnych dłoniach nie tylko nie ujmują, lecz wręcz dodają jej wdzięku...

Musi chyba bardzo jej zależeć na tym panu eleganciku, skoro dla niego gotowa była na tak wiele...

Przecież on jest od niej przynajmniej dziesięć lat star-

szy. I pewnie z piętnaście razy bogatszy od nas obojga razem wziętych, pomyślał z gorzką ironią.

Właściwie to nawet rozumiał Stacey. Marzyła pewnie o tym, żeby Clover i Rosie niczego nie zabrakło. Sama z pewnością też już miała dosyć tych wiecznych długów i przeciągającego się remontu. Co więcej, dysponując zasobnym portfelem, pan elegancik byłby w stanie spełnić każde jej marzenie, a wśród nich również i to o szkółce roślin egzotycznych...

Jego dłonie same zacisnęły się w pięści. Podniósł je do góry i w bezsilnej złości uderzył kilkakrotnie o mur.

Nie czuł bólu. Jedyne, co do niego docierało, to przeraźliwy chłód w sercu. I jakaś tkliwość, która nie opuszczała go, odkąd po raz pierwszy ujrzał Stacey.

Musi koniecznie jak najszybciej stąd wyjechać, uciec z tego przekłętą miasta! Zapomnieć.

Wyjedzie jutro, zaraz po wykładzie. Wcześniej zajrzy jeszcze do Archiego. Niech staruszek robi sobie z ogrodem, na co tylko przyjdzie mu ochota. Jemu jest to najzupełniej obojętne. Zwłaszcza odkąd okazało się, że Stacey ma co do swojej przyszłości bardzo sprecyzowane plany.

Mimo wszystko odetchnął z ulgą.

Stacey rozejrzała się po sali. Wieczór był dużo przyjemniejszy, niż się tego spodziewała. Nie było w tym co prawda zasługi Lawrance'a Fordhama, który zaraz na początku wdał się w niezwykle interesującą dyskusję na temat hodowli kultur bakteryjnych w jogurtach z gościem

z Belgii, żeńskim odpowiednikiem samego siebie, jednak Stacey nie nudziła się.

Wręcz przeciwnie.

Dużą rolę odegrał niewątpliwie doskonale zaopatrzony bufet, pełen wszelkiego rodzaju przekąsek i drinków. Na samym ich próbowaniu upłynęła jej spora część wieczoru. Co więcej, częste wizyty przy barku zaowocowały nieoczekiwaną rozmową z, jak się później okazało, naczelną redaktorką „Maybridge Gazette”, sporego lokalnego czasopisma. Gdy pani redaktor usłyszała o planach Stacey odnośnie założenia szkółki roślin egzotycznych, obiecała jej pomoc.

Jednak pomimo natłoku wrażeń, czy może właśnie dzięki nim, w pewnym momencie Stacey poczuła, że pada z nóg. Nieprzespana noc i przygody z kocią rodziną również zrobiły swoje. Zdecydowała się podejść do Lawrance'a i dyskretnie przerwać mu rozmowę.

- Już? - zapytał, w połowie zdania przerywając wypowiedź na temat ubocznych skutków działania zbyt wysokiej temperatury w procesie dojrzewania serów. Jego towarzyszką przyjrzała się Stacey krytycznie. Rzeczywiście, wyglądało na to, że większość gości nawet jeszcze nie pomyślała o powrocie do domu.

- Nie przeszkadzaj sobie, Lawrance - rzuciła szybko Stacey, tłumiąc ziewanie. - Poradzę sobie.

Cóż, Dee nie będzie chyba miała powodów do narzekań. Wszystko poszło tak, jak sobie tego życzyła. Lawrance pojawił się na przyjęciu. A za niepowodzenie pozostawiając.

stałych planów kochanej siostrzyczki Stacey nie mogła przecież ponosić odpowiedzialności.

Poza tym musiała przemyśleć parę spraw. Jak na przykład tę... przygodę z Nashem. Ale tym zajmie się najwcześniej jutro z samego rana.

Teraz jedyne, czego jej potrzeba, to sen.

Nash wyprostował ramiona. Miał nadzieję, że pod gołym niebem będzie mu chociaż odrobinę chłodniej, ale niestety, przeliczył się. Pod głową miał miękką zieloną trawę, a w nozdrzach parny zapach lata. Stał z czoła krople potu.

Nagle na podjeździe od strony domu Stacey usłyszał warkot silnika samochodowego.

Nadstawił ucha. Kroki na ścieżce, skrzypnięcie drzwi - i w salonie na dole pojawiło się światło. Po dziesięciu minutach wszystko ucichło.

Uspokojony przymknął powieki. Była już w domu. Bezpieczna i... sama.

Nie wiedział, jak długo spał, kiedy nagle obudził go jakiś hałas. Poderwał się gwałtownie na równe nogi.

To namiot, szarpany silnym podmuchem wiatru, wywrócił się do góry nogami. Nash przecierał właśnie dłonią zaspane powieki, kiedy nagle na nagim karku poczuł grube, ciężkie krople deszczu. Błysnęło.

Stacey zerwała się z łóżka. Potężne, donośne uderzenie pioruna odbijało się jeszcze echem po okolicy. Za oknem szalała burza.

Podbiegła do okna.

W strugach deszczu i w kompletnych ciemnościach, od czasu do czasu tylko rozświetlanych blaskiem błyskawic, wszystko wyglądało dosyć przerażająco. Aż wzdrygnęła się na myśl, że mogłaby się teraz nagle jakimś cudem znaleźć na zewnątrz, zamiast we własnym suchym domu. Najgorszemu wrogowi nie życzyłaby noclegu pod gołym niebem.

Kolejna błyskawica rozcięła gwałtownym błyskiem ciemne, nocne niebo. Na ułamek sekundy, za rozszalałymi na wietrze koronami drzew, Stacey dojrzała zgarbioną męską postać. Nash!

Jak mogła o nim zapomnieć?!

Szybko narzuciła bluzę od dresu i niemal w biegu wsunęła adidas. Nie czas teraz na wykopywanie toporka wójennego, mogą z tym poczekać przynajmniej do jutrzejszego poranka.

Starając się nie zbudzić dziewczynek, ostrożnie uchyliła drzwi ich pokoju.

Rosie spała twardym, dziecięcym snem. Clover uniosła się na przedramieniu.

- Co to za hałas, mamusiu? - zapytała, przecierając powieki.

- Nic, nic, kochanie, to tylko burza. Wyjdę sprawdzić, czy z Nashem wszystko w porządku. Postaraj się znowu zasnąć.

Dziewczynka obróciła się na drugi bok. Po chwili Stacey usłyszała jej spokojny, miarowy oddech.

Wybiegła z domu, w ostatniej chwili zabierając z holu niewielką, podręczną latarkę.

Kątem oka dostrzegła, jak ścieżka przed domem powoli zamienia się w mały, bystry potok, ale nie dbała teraz o to. Co sił w nogach biegła przed siebie, w kierunku starego muru na końcu ogrodu.

Czuła, jak grube krople deszczu spływały lodowatym strumieniem po jej starannie ułożonej fryzurze wprost na kark. Przemoknięte do suchej nitki ubranie oblepiało ją niczym druga skóra.

- Nash! Nash! - Głos Stacey niknął w strugach deszczu. Jedyłą odpowiedzią było przeciągłe, złowróżbne zawroźwienie wiatru.

W końcu dobiegła pod mur. Spróbowała podskoczyć, by wspiąć się na wysoką ceglana ścianę, ale stopy ześlizgnęły się tylko z mokrej, omszałej powierzchni.

Po chwili udało jej się wspiąć się na yle, że przytrzymując się jedną ręką i nie wypuszczając latarki z drugiej, mogła wreszcie zajrzeć do ogrodu. Włączyła latarkę i skierowała promień światła w kierunku, gdzie jeszcze wczoraj stał namiot Nasha.

I nic. Ani śladu po namiocie, a tym bardziej po jego właścicielu.

- Nash! Nash! - Starła się oświetlić latarką jak największą przestrzeń.

Cisza. Niemożliwe przecież, żeby spał. Nie w tym huk. Musi widzieć ją albo przynajmniej światło latarki. Wysunęła ramię, żeby oświetlić jeszcze większą prze-

strzeń, lecz zanim zdążyła zorientować się, co się dzieje, ogarnęła ją ciemność.

Karetka podjeżdżała właśnie pod budynek szpitala.

Stacey jęknęła cichutko, próbując podźwignąć się na lewym łokciu.

Nash otarł dłonią zabłocone czoło. Na całym ubraniu miał świeże ślady ziemi.

- Jak to się mogło stać? Czy... czy to oznacza, że martwiłaś się o mnie?

- Jasne, że się martwiłam - odpowiedziała, lecz nie chcąc, by zabrzmiało to jak deklaracja uczuć, dodała:

- Obiecałeś przecież dokończyć malowanie łazienki, pamiętasz?

Zrobiła ruch, jakby zamierzała wstać, lecz natychmiast opadła z jękiem na plecy.

- Proszę leżeć spokojnie, pani O'Neill - upomniał ją sanitariusz. - Przynajmniej do czasu, aż nie stwierdzimy, co tak naprawdę jest złamane.

Złamane?! Więc to dlatego tak piekielnie boli?

- Co z Clover i Rosie?! - zawołała, tym razem nie próbując już wstawać.

- Vera jest z nimi - uspokoił ją Nash. - To ona wezwwała karetkę. Ją też obudziła burza. Stała akurat w oknie, kiedy wybiegałaś z domu. Widziała, jak spadałaś z muru.

- Ach tak? - Stacey usiłowała poskładać w całość to, co przed chwilą usłyszała. - Jak wrócę do domu, upiekę dla niej zapas ciasteczek na najbliższe dwa, trzy lata.

- Jak wrócisz do domu, to przez najbliższe dwa, trzy tygodnie będziesz wyłącznie leżeć - wszedł jej w słowo Nash. - Nie muszę oglądać zdjęcia rentgenowskiego, żeby stwierdzić, że masz złamaną rękę.

- Oj, niedobrze - Stacey jęknęła żałośnie. - Byłam umówiona z Lawrence'em na sobotni wieczór.

- Przykro mi - powiedział, choć z tonu jego głosu można było wywnioskować coś wręcz przeciwnego. - Może chcesz, żebym do niego zadzwonił?

- Nie, nie, nie trzeba - odparła. - Dee pomyśli sobie pewnie, że specjalnie złamałam rękę...

Z serdecznego, czułego niemal dotyku Nasha promieniowało ciepło i bezpieczeństwo. Stacey przymknęła powieki.

- Czy twoja siostra nie powinna wiedzieć?

- O czym? - zaśmiała się Stacey. - O tym, że dzisiejsza noc okazała się jeszcze ciekawsza od poprzedniej? Więc mówisz, że to ręka?

- Mogło być gorzej, Stacey. - Położył delikatnie dłoń na jej rozgrzanych policzkach.

Mogło być dużo gorzej, powtórzył w myślach. Jak to się, do diabła, stało? Jednego był pewien. To była jego wina i nigdy, przenigdy sobie tego nie wybaczy...

Karetką zatrzymała się na podjeździe.

- Jak myślisz, na długo mnie tu zatrzymają? - Spojrzała mu bezradnie w oczy. - Co wtedy stanie się z dziewczynkami? I z kotami?

- O nic się nie martw - uspokoił ją. - Ja się wszystkim zajmę.

O nic się martw, powtórzył w myślach. Zaufaj mi.

Stacey zniknęła za drzwiami izby przyjęć.

Miał nieodparte wrażenie, że minęły wieki, zanim uj-
rzał ją ponownie.

- Złamanie na wysokości ramienia - oznajmiła idąca
za nią pielęgniarka. - Będzie musiała pani spędzić u nas
kilkę dni, pani O'Neill. Spróbuję znaleźć dla pani jakieś
miejsce. Ostatnio zrobiło się u nas trochę tłoczno.

- A czy nie mogłabym wrócić do domu?

- Ma pani kogoś, kto się panią zaopiekuje? - Pielęg-
niarka zerknęła do karty Stacey.

- Na pewno uda mi się gość znaleźć.

- Proszę się nie martwić, siostró - odezwał się Nash.

- Będę przy niej do czasu, aż nie wróci całkowicie do
zdrowia.

- Ależ... - próbowała zaprotestować Stacey.

- Nic nie mów. - Nie dał jej dokończyć. - Jestem ci
to winien. Gdyby nie ja, nigdy by do tego nie doszło.

- A gdzie ty się właściwie podziałeś, kiedy rozpętała
się burza?

- Byłem w altance. Zdażyłem przenieść tam namiot
i resztę rzeczy.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że niepotrzebnie się
o ciebie martwiłam?

Pytanie wydało mu się tak bezsensowne, że nawet nie
zamierzał na nie odpowiadać.

- A może zgodzisz się wreszcie, żebym wynajął u cie-
bie pokój? - spytał bez ogródek. - Mógłbym na przykład

zamieszkać z tą studentką, która zgłosiła się wczoraj rano, co ty na to?

- Idiota... - mruknęła niewyraźnie pod nosem.

- Rozumiem, że to oznacza zgodę. - Nash zwrócił się do siostry. - Gdzie moglibyśmy znaleźć jakiś środek transportu?

Pielegniarka wskazała głową kierunek.

Nash spojrział na Stacey. W jej oczach odbijał się nikły, jakby nieśmiały jeszcze cień cichej radości.

Stacey, leżąc wygodnie na sofie w salonie, odnosiła właśnie wrażenie, że dzisiejszego ranka cały świat nagle wywrócił się do góry nogami.

- Mamo, nie wiesz, gdzie są moje szorty? Dzisiaj mamy KF! - dobiegło jej uszu wołanie Rosie.

- Poszukaj w garderobie, w koszu z nie uprasowaną bielizną! - odkrzyknęła.

- Chcesz powiedzieć, że nie są jeszcze uprasowane?!

- W drzwiach pojawiła się przerażona twarz jej młodszej córki. - Nash, potrafisz prasować?

- Rosie, nie zwracaj Nashowi głowy. Jestem pewna, że poradzisz sobie sama - próbowała oponować Stacey.

Na schodach werandy zabrzmiał nagle czyjś znajomy głos. To Dee właśnie przyjechała po swój samochód.

Stacey westchnęła ciężko. W pierwszej chwili postanowiła udawać, że śpi, ale zdaje się, że nie na wiele by się to zdało.

- Stacey, czy możesz wytłumaczyć mi, co tu się wła-

ściwie dzieje?! - Dee pojawiła się w progu salonu. - Ten mężczyzna twierdzi, że złamałaś rękę. Co to za bzdury? I dlaczego, do diabła, on zajmuje się prasowaniem dziewczęcych szortów?!

- Mówiłam mu, że nie musi...

Dee, uznając, że sytuacja rzeczywiście jest poważna, przysiadła na brzegu łóżka.

- Opowiadaj. Co to wszystko ma, do diabła, znaczyć?
- zapytała.

- Nic takiego, po prostu, miałam mały wypadek w poniedziałkową noc.

- W poniedziałek? Wystarczy, że nie ma mnie kilka godzin, a już wszystko się wali?

- Nie wszystko. Zawalił się tylko mur - zaproponowała Stacey. - Dojdę do siebie za dzień czy dwa.

- Nie wydaje mi się. - Dee przyjrzała się jej krytycznie. - Nie z taką wielką, brunatną śliwą pod okiem.

- Dzięki, Dee. Zawsze wiedziałas, jak dodać mi otuchy. - Od przyjazdu ze szpitala nie miała jeszcze okazji, żeby przyjrzeć się w lustrze swemu odbiciu. Teraz nie było już właściwie takiej potrzeby.

- Czy ty nie powinnaś być przypadkiem jeszcze w szpitalu?

- Nie mieli wolnych łóżek. Gdyby nie pomoc Nasha, wylądowałabym na połówce na szpitalnym korytarzu.

- Powinnaś była zawiadomić Tima - Dee udała, że nie usłyszała ostatnich słów. - Zresztą nadal nie jest na to za późno. Ty i dziewczynki pojedziecie ze mną.

- Nie trzeba, Dee...

- Bądź rozsądna, kochanie - Dee odezwała się kategori-
cznym tonem starszej siostry.

- Nic z tego, Dee - Stacey ze zdziwieniem usłyszała
sвій własny głos. - Nash nam pomaga. I, muszę przyznać,
wychodzi mu to całkiem nieźle.

- Ten mężczyzna... - zaczęła Dee.

- Ma na imię Nash - weszła jej w słowo Stacey. -
Nash Gallagher. Kluczyki leżą na kredensie w kuchni.

Dee zatrzepotała bezradnie rzęsami, jakby nie wierząc
własnym uszom.

- Pójdę już - zaczęła, nie ruszając się z miejsca - ale
niedługo wrócę. Czy coś ci przynieść?

- Parę pomarańczy, jeśli nie sprawi to kłopotu.

- Jesteś pewna, że to wszystko? - zapytała Dee, nie-
chętnie odwracając się w kierunku drzwi. Jednak po kilku
krokach, jakby zdobywszy się w końcu na odwagę, zapy-
tała: - Stacey, czy to zdarzyło się przed... czy po przy-
jęciu?

- Nie martw się, Dee - Stacey roześmiała się. - Do-
trzymałam umowy. I, muszę przyznać, wieczór był uroczy.

- Uroczy?

- W pewnym sensie... - uściśliła Stacey. - Myślę, że
Lawrance również nie ma powodów do narzekań.

- W porządku. - Dee, nieco już spokojniejsza, za-
mknęła za sobą drzwi. Nie minęła jednak chwila, jak po-
nownie się w nich pojawiła. Tym razem z telefonem ko-
mórkowym w rękę. - Masz. Na wszelki wypadek.

Stacey już, już miała na końcu języka pytanie, na wypadek czego, jednak w porę powstrzymała się. Mogła przysiąc, że doskonale znała odpowiedź.

- Daj spokój, Dee - próbowała zażartować. - Nie mam zamiaru przez cały dzisiejszy ranek odbierać telefonów do ciebie. Poza tym nie ma takiej potrzeby. Nash zostawił mi swój.

Zdrową ręką wskazała leżący na stoliczku telefon, który Nash zostawił jej dzisiaj rano. Na wszelki wypadek.

- Więc jak? W czym mogę ci pomóc? - Nash stanął przy sofie.

- Pomóż mi wstać z tego przekłętą łóżka - Stacey odezwała się błagalnym tonem. - Muszę się odświeżyć.

- W porządku. Chwyć się mocno mojego ramienia. - Schylił się, by pomóc jej się podźwignąć.

Stacey oparła się na nim całym ciężarem ciała. Z jej ust posypał się szereg dźwięcznych, choć dosyć niecenzuralnych epitetów.

- No, no! Niezła jesteś! - zawołał Nash ze śmiechem.

- Lepiej sobie teraz ze mnie nie żartuj! - ostrzegła go Stacey.

- Nie musisz się tak złościć. Złość piękności szkodzi. Chociaż wypada wspomnieć, że ten siniak pod okiem, barwy dojrzałej śliwki, również ci jej nie dodaje.

Stacey wykonała ruch, jakby chciała w niego rzucić stojącą na stoliku lampką, ale zamiast tego jęknęła tylko cicho.

Nash zacisnął mocno ramię na jej tali. Zrobili razem kilka kroków do przodu. Od czasu do czasu z ust Stacey dobywało się bolesne westchnienie. Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, że jest z nią aż tak źle.

W końcu udało im się dojść do łazienki. Nash delikatnie posadził Stacey na stojącym pod umywalką krzesełku.

- Ostrożnie - ostrzegł z troską.

Odkręcił kran i zanurzył brzeg ręcznika w ciepłej wodzie, po czym namydlił go.

- Mogę? - zapytał. - Chyba że chcesz dzwonić po siostrę.

W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko. Wilgotnym ręcznikiem dotknął jej twarzy.

Przymknęła powieki. Dziwne, ale nie czuła skrępowania. Właściwie było tak, jakby go znała od lat. Czuła się jak mała bezbronna dziewczynka, którą nieoczekiwanie ktoś się zaopiekował.

Przemył jej twarz ciepłą wodą. Ponownie zamoczył pod kranem brzeg ręcznika i odgarnął dłonią włosy z jej karku. Zdziwił się, jak były miękkie i delikatne. Przejechał wilgotnym ręcznikiem po długiej smukłej szyi, a następnie obmył jej nagie ramiona. Czuł się tak, jakby nagle dostał pod opiekę małą bezbronną dziewczynkę.

Kiedy skończyli, podał jej czystą koszulę.

Mimo że początkowo upierała się, że posiedzi trochę na ławce, w cieniu werandy, z ulgą wróciła do łóżka. Niemal bez sił opadła na poduszki.

- Rozczesać ci włosy? - zaproponował, jakby była to jedna z najbardziej naturalnych rzeczy na świecie.

- Proszę - odpowiedziała równie naturalnie. - W szufladzie kredensu powinieneś znaleźć jakiś grzebień.

Wśród całego bogactwa przeróżnych spinek i wstążek, z których przynajmniej połowa musiała należeć do Rosie, na dnie szuflady odnalazł nieoczekiwanie jakieś zdjęcie.

- To pewnie twój mąż? - Z fotografii spoglądał na niego przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna.

- Tak, to Mike - odpowiedziała.

- Musi ci go bardzo brakować... - Zapadła długa chwila ciszy. - Przepraszam, pewnie nie masz ochoty o tym mówić.

- Nie, nie, w porządku - odezwała się w końcu. - Potrafię sobie z tym poradzić. Co innego dziewczynki... Poza mną nie mają nikogo.

- Wiem, jak to jest, kiedy tęskni się za rodzicami. Moi nigdy mnie właściwie nie zauważali. Jedyne, co ich interesowało, to pieniądze.

- Przykro mi...

- Niepotrzebnie. Na szczęście miałem wspaniałego dziadka.

Nash schował fotografię ponownie na dno szuflady, wyciągając z niej jednocześnie kilka dziecięcych spinek.

- No, nareszcie znalazłem coś odpowiedniego. Życzysz sobie różyczki czy stokrotki?

- Poproszę stokrotki - uśmiechnęła się.

- A na śniadanie?

- Nie pamiętam już, kiedy ostatnio ktoś proponował mi śniadanie do łóżka!

- Więc? Myślę, że jajecznicą z dwóch jaj będzie w sam raz, co ty na to?

- Wspaniale!

Nash zebrał starannie jej włosy z tyłu głowy i, ostrożnie, by nie sprawić jej bólu, spiął spinką. Ujarzmione, ponownie opuścił na kark.

Rzeczywiście, wspaniale...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stacey przebudziła się. Widocznie zaraz po śniadaniu musiała zapaść w dość długą drzemkę, bo kiedy teraz zerknęła przez okno, słońce stało już całkiem wysoko na niebie. Przeciagnęła się.

Dopiero teraz jej wzrok zatrzymał się na ogromnym, starannie ułożonym bukietcie czerwonych róż, stojącym na stoliczku przy sofie. Z jednej z gałązek zwisał mały, prostokątny bilecik. Nie musiała nawet wyciągać po niego ręki, by wiedzieć, kto przysłał kwiaty.

Z życzeniami jak najszybszego powrotu do zdrowia, Lawrance.

Mogłaby przysiąc, że pismo należało do jej siostry. Widocznie biedna Dee uznała, że cel uświęca środki.

- Nash!

- Tak? - Pojawił się tak szybko, jakby, czekając na jej przebudzenie, stał za drzwiami.

- Mógłbyś to stąd zabrać? - zapytała, wskazując ręką bukiet. - Pachną tak intensywnie, że aż rozboleła mnie głowa.

- Co tylko sobie życzysz. - Zdjął wazon ze stolika.

- Co powiesz na miejsce na kuchennym stole?

- Zgoda - uśmiechnęła się. - Ale gdyby Lawrance

zdecydował się mnie odwiedzić, będę mogła liczyć na twoją pomoc w zatarciu śladów?

Znając Dee i jej pomysłowość, była pewna, że trzeba spodziewać się wizyty ich obojga jeszcze dzisiaj.

Nash przytaknął energicznie.

W czarnym, bawełnianym podkoszulku wyglądała wspaniale. O wiele za przystojnie jak dla kobiety, która ze wszystkich sił próbuje zachować rozsądek i której, co tu ukrywać, przychodzi to z coraz większym trudem.

- Co takiego? - Poczul na sobie jej wzrok.

- Nie, nic. - Potrząsnęła gwałtownie głową. - Wydawało mi się, że masz coś we włosach.

Może jednak powinna wezwać Dee na pomoc? Może siostra miała rację, mówiąc, że Stacey właśnie na własne życzenie pakuje się w kolejne kłopoty.

- Masz ochotę na coś do jedzenia czy poczekaś na dziewczynki? - Głos Nasha przywołał ją do rzeczywistości. - Myślałem o pizzy, ale jeśli masz inne życzenie...

Nagły dźwięk dzwonka telefonu przestraszył ich oboje.

- To do ciebie. - Stacey podała Nashowi aparat komórkowy.

- Tak, słucham? - odezwał się.

- Doktor Gallagher? - W słuchawce rozległ się miły kobiecy głos.

- Przy telefonie.

- Mówi Jannie Taylor z Towarzystwa Botanicznego. Dostaliśmy pana wiadomość z prośbą o przełożenie daty powrotu do bazy. Czy koniec miesiąca pana zadowala?

Nash spojrział na Stacey. W jej oczach zobaczył niemy znak zapytania.

Koniec miesiąca był już za dziesięć dni. Pozostałoby o wiele za mało czasu, by pomóc Stacey stanąć na nogi. O wiele za dużo jednak na bicie się z myślami...

- Obawiam się, że będziecie musieli poszukać kogoś na moje miejsce - odezwał się w końcu.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła chwila ciszy.

Nash nie spuszczał wzroku z twarzy Stacey, sam właściwie nie do końca wierząc w to, co powiedział.

- Przekażę pana sugestie zarządowi i postaram się odzwonić. - Nash usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki.

Stacey patrzyła na niego badawczo, jakby usiłując z jego oczu wyczytać wszystko, czego nie mogła się domyślić.

Tak właśnie nauczyła się postępować z Mikiem, kiedy nie znajdowała już innego sposobu na poznanie ścieżek, którymi chadzał. Ale z Mikiem to było łatwe, nie to, co z Nashem.

- To z Towarzystwa Botanicznego w Peru. - Nash odłożył telefon na stół. - Chcą, żebym poprowadził najbliższą ekspedycję.

- Z Towarzystwa Botanicznego?! - wykrzyknęła. Do tej pory jakoś nie do końca wierzyła w tę jego karierę naukową. - I... odmówiłeś im?

- Tak - odparł krótko. - Ty potrzebujesz mnie teraz bardziej.

- Jasne, świetnie! - zachnęła się. - Nie widzisz, że ze mną jest już całkiem niezłe?

Nie odpowiedział.

- Muszę iść do toalety. - Spróbowała się podnieść.

Musiała czuć się rzeczywiście o wiele lepiej, bo niemal bez wysiłku oparła się na zdrowym przedramieniu.

Pochylił się nad nią, by mogła położyć rękę na jego barku. Sam mocno objął ją w pasie i podźwignął do góry.

Musnęła niechcący policzkiem jego twarz. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że dotyka jedwabiu.

Podniosła wzrok. W jej spojrzeniu błąkał się uśmiech.

Jego oczy były poważne, jakby skupione. Nie odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. Zamiast tego powoli zbliżył usta do czoła Stacy i delikatnie ucałował.

- Nie przesadzaj z tą samodzielnością - odezwał się ciepło. I, nie pytając o pozwolenie, chwycił ją na ręce i zaniósł do łazienki.

Niemal nie wierzyła własnym oczom, kiedy otworzył drzwi i zatrzymał się w progu, wciąż nie wypuszczając jej z rąk.

Wnętrze jaśniało niczym ukwiecona łąka w upalne, letnie popołudnie. Wszystko było całkowicie odnowione. Działał nawet ten wiecznie zepsuty kinkiet nad lustrem, o którym Stacey myślała, że nadaje się już jedynie do wyrzucenia. Na parapecie pod oknem stał niewielki bukiecik stokrotek.

- Nash! Wszystko jest... przepiękne!

Uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony i dumny z siebie jak paw.

Postawił ją ostrożnie na ziemi, pilnując, by złapała równowagę. Dla pewności przytrzymała się jego ramienia.

Rozglądała się, jakby odrobinę niepewnie, z niedowierzaniem, ale widać było, że jest szczęśliwa.

Przez otwarte okno dolatywały do nich jakieś odgłosy z końca ogrodu. Jej wzrok podążył w tym kierunku.

- A to co? - Przy na wpół rozebranych murze pracowała grupka mężczyzn. - Skąd oni się wzięli?

- A, to... Zapewne nowy właściciel postanowił naprawić szkody. Należy ci się zresztą od niego odszkodowanie.

- Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. - Powinnaś dostać je w ciągu kilku dni.

- Odszkodowanie?! - Stacey nie wierzyła własnym uszom. - Przecież to była moja wina.

- Mur był w katastrofalnym stanie. Całe szczęście, że wypadek nie przydarzył się Clover albo Rosie. Wszystko mogłoby się wtedy skończyć o wiele gorzej.

- Gdybym nie wspinała się na mur, nic by mi się nie przytrafiło. Dziewczynkom również zabroniłam się do niego zbliżać. To była moja wina - powtórzyła z przekonaniem. - Więc mówisz, że nowy właściciel wkroczył już na teren ogrodu. Szkoda.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał poważnie w oczy.

- Stacey, nie musisz się wyprowadzać, jeśli nie chcesz.

Pokręciła przecząco głową.

- Po poniedziałkowej nocy podjęłam parę ważnych decyzji.

- Rozumiem...

Nash otworzył drzwi kuchni. Za stołem siedziała Dee Harrington.

- O, dzień dobry. Nie słyszałem, żeby ktoś otwierał drzwi - odezwał się, nie kryjąc zaskoczenia. - Stacey jest właśnie w łazience na górze. Zawołać ją?

- Nie przyjechałam tu rozmawiać ze Stacey. Przyjechałam pomówić z tobą - odpowiedziała twardo. - Możemy mówić sobie po imieniu?

- Jasne, na imię mi Nash. - Ukłonił się jej. - A czy ja mogę zaproponować ci filiżankę... czegokolwiek?

- Proszę, oszczędź sobie tych podchodów - odezwała się sarkastycznie. - Ja nie jestem Stacey, a ty nie jesteś w moim typie.

Nash odsunął sobie jedno z krzeseł i usiadł naprzeciwko Dee.

- Możesz mi powiedzieć, co cię właściwie tak wrogo nastraja? - Oparł obie ręce o stół.

- Co? Pan, panie Gallagher, pan - odparła bez namysłu. - Stacey miała już raz złamane serce. Ledwo się wtedy pozbierała. Nie chciałabym, żeby musiała przechodzić przez coś takiego po raz drugi.

- A dlaczego właściwie myślisz, że ja mógłbym złać jej serce?

- Zbyt jesteś podobny do Mike'a, żeby miało być inaczej. Te same jasne, lekko falujące włosy, ten sam kolor oczu, nawet ta sama figura. I, jak przypuszczam, to samo lekkomyślne podejście do życia. Pewnie lubisz również wszystkie te zabawki dużych chłopców, a w szczególności

motocykle, co? - Przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu. - Stacey była dobrą żoną. Długo opłakiwała śmierć Mike'a. Tym razem zasługuje na coś lepszego.

- I ty zrobisz wszystko, żeby jej to zapewnić, tak?

- A ty stałbyś beczynnym, gdyby to chodziło o twoją siostrę? - odpowiedziała zaczepnie. - Lawrence Fordham jest dobrym człowiekiem. Mógłby zapewnić jej i dziewczynom godziwą przyszłość. Ale nie wtedy, kiedy ty będziesz w pobliżu. Stacey potrzebuje kogoś, kto pomógłby jej rozwinąć skrzydła. Nie jesteś odpowiednim facetem, uwierz mi...

- Rozumiem pani troskę o siostrę, pani Harrington. Ale teraz wybaczy pani... - podniósł się z miej sca - ... muszę zająć się paroma sprawami, zanim dziewczynki wrócą ze szkoły. Powiadomić Stacey o pani wizycie czy raczej wołałaby pani, żeby to pozostało między nami?

Dee odsunęła krzesło i wstała od stołu. Na jej twarzy pojawił się nieprzyjemny grymas.

- Widzę, że jesteś bardzo pewny siebie - niemal warknęła. - Wydaje ci się, że jesteś niezwykle sprytny, co? Samotna wdowa z własnym domem... Może i udało ci się zawrócić w głowie biednej Stacey, ale jednego możesz być pewien - ze mną na pewno nie pójdzie ci tak łatwo.

Zrobiła parę kroków w kierunku drzwi, ale od progu krzyknęła jeszcze:

- Dobrze panu radzę, panie Gallagher, niech się pan stąd zabiera najbliższym pociągiem i nigdy więcej nie

wraca. Bo jeśli ma pan cokolwiek do ukrycia, może być pan pewien, że ja się o tym dowiem!

- W porządku. Tylko kto wtedy zajmie się Stacey?

- Słysząc było, że i on powoli traci cierpliwość. - Ty czy może szanowny pan Lawrence?

- Zabiorę Stacey do siebie. Jest mnóstwo ludzi, którzy mogliby się nią tam zająć.

Na piętrze rozległo się skrzypnięcie drzwi. Stacey wychodziła z łazienki.

- Nash! - rozległo się jej wołanie. - Nash! Możesz pomóc mi zejść?

- Już idę, Stacey. Masz gościa! - odrzyknął Nash, uśmiechając się przy tym zagadkowo do Dee. - Pokaż się, żeby udowodnić, że nie zrobiłem ci, jak dotąd, żadnej krzywdy.

- Lawrence, niepotrzebnie się fatygowałeś. Wystarczyłyby kwiaty. - I, na wypadek, gdyby zaczął się zastanawiać, gdzie właściwie stoją, dodała szybko: - Są w kuchni na stole. Tak ładnie wyglądają w tym dużym wazonie po babci...

Stacey leżała na sofie, z nogami ułożonymi wygodnie na oparciu. Lawrence stał tuż obok. W powietrzu unosiło się silne, niemal wyczuwalne napięcie.

- Gdzie jest Nash? - Stacey odwróciła się w kierunku Clover i Rosie, zajętych właśnie oglądaniem kreskówek w telewizji.

- Jest w ogrodzie. Powiedział, że jeśli damy mu pół

godziny, przyszykuje jakąś niespodziankę - odpowiedziała jednym tchem starsza z dziewczynek. - I to jeszcze przed kolacją.

- Ach tak? - Stacey odwróciła się ponownie w kierunku Lawrence'a. - Jeszcze raz dziękuję za kwiaty. Są naprawdę piękne.

- Rzeczywiście? Dee się wszystkim zajęła. Jest naprawdę dobra, jeśli chodzi o te sprawy.

- Ach tak? - Stacey odniosła wrażenie, że powtarza się jak stara, zacięta płyta.

- Dee zawiadomiła mnie o twoim wypadku - ponownie odezwał się Lawrence. - Ale nie miałem pojęcia, że to coś aż tak poważnego...

- Najgorsze, że chyba nie będę mogła towarzyszyć ci w sobotni wieczór - zaczęła z wahaniem.

- Och, o to się nie martw. Jak tylko dowiedziałem się o wypadku, zaraz zadzwoniłem do Cecile. Zgodziła się zastąpić cię.

- Doprawdy? - udała życzliwe zainteresowanie.

To dziwne, ale było jej trochę przykro, że Lawrence wcale nie wygląda na rozczarowanego lub zmartwionego z powodu takiego obrotu rzeczy. - A kto to jest Cecile?

- Poznałaś ją w poniedziałek na przyjęciu, pamiętasz? Zamieniłem z nią wtedy parę słów.

Ładne mi parę słów, zakpiła w duchu Stacey.

- A tak, przypominam sobie. Zdawało mi się tylko... czy Cecile rzeczywiście pochodzi z Belgii? - Lawrence

przytaknął. -I przeleci pół świata, żeby zjeść z tobą obiad w sobotni wieczór?!

- Hm, tak naprawdę zamierza zostać na cały weekend.

- Na policzkach Lawrance'a pojawił się ledwie widoczny rumieniec.

- Mówiłeś już Dee? - zapytała ostrożnie. Lawrance odwrócił spłoszony wzrok. - Odwagi, nie może przecież cię zabić. Jesteś w końcu jej szefem.

Nash przysiadł na niedużym pieńku. Jeszcze tylko parę pociągnąć papierem ściernym dla wyrównania wszystkich nierówności i laska będzie gotowa. Aż uśmiechnął się na myśl, jaką niespodziankę sprawi Stacey.

Był pewien, że Dee Harington potrzebowała nie więcej niż tydzień, żeby poznać całą prawdę o nim. Miał nadzieję, że nie więcej zajmie Stacey dokonanie wyboru między nim a Lawrance'em Fordhamem.

- Stacey, muszę jutro załatwić parę spraw w miasteczku. - Nash podszedł do sofy, na której leżała. - Będę o wiele spokojniejszy, jeśli ktoś przy tobie będzie przez ten czas. Zawiadomić Verę czy twoją siostrę?

- A jak myślisz? - Spojrzała na niego ze znaczącym uśmiechem.

- W porządku. Postaram się, by Vera przyszła z samego rana, jeszcze zanim dziewczynki wyjdą do szkoły.

- Nash, ja naprawdę czuję się już o wiele lepiej...

Szczególnie teraz, odkąd mam tę laskę. - Rzeczywiście, ćwiczyła chodzenie przez cały poranek.

- Na wszelki wypadek zostawię ci swój telefon.

- Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku, ale dziękuję - uśmiechnęła się. - Zresztą, muszę się przyzwyczajać. Kiedy stanę się już dumną właścicielką szkółki roślin egzotycznych, pewnie będę również musiała stać się nie mniej dumną posiadaczką telefonu komórkowego.

- Co takiego?

- Byłam nawet w tej sprawie w banku i, wyobraź sobie, nie wyśmiali mnie. Co więcej, powiedzieli, żebym sporządziła biznesplan. Wtedy będą mogli rozpatrzeć moje podanie. I wcale nie wyglądało na to, że żartują... - Sięgnęła po filiżankę świeżo zaparzonej herbaty, którą Nash postawił przed chwilą na stoliczku. - Archie też mówi, że to dobry pomysł. Według niego mam jednak trochę za mało terenu jak na tak ambitne przedsięwzięcie.

- Archie?

- Archie Baldwin, były właściciel ogrodu. Odwiedziłam go kilka dni temu w szpitalu. Miałam nadzieje, że będzie wiedział coś więcej na temat przyszłych losów ogrodu. Jak na przykład, dlaczego zająłeś się sprzątaniami terenu, skoro ma on zostać sprzedany pod budowę biurowców. - Spojrzała na niego badawczo, ale z jego twarzy nie można było wyczytać absolutnie nic. - Liczyłam też na to, że pomoże mi porozumieć się z nowym nabywcą. Może zgodziłby się odsprzedać mi kawałek gruntu po promocyjnych cenach.

- Czy to część planu?
- Yhm...
- I co Archie na to?
- Nic. Poradził mi, żebym porozmawiała z tobą.

- **I?**

- Och, wiesz, jak to było... Najpierw poniedziałkowy festyn, później ten wypadek, szpital... Zupełnie nie miałam do tego głowy. - A może po prostu bałam się usłyszeć twoją odpowiedź, dodała w duchu.

Podszedł do niej i chwycił za rękę.

- Przepraszam...

- Przepraszasz? Za co? - Jego głos brzmiał tak żałośnie, że spojrzała na niego wystraszona.

- Powinienem być ci powiedzieć. Właściwie sam nie wiem, dlaczego do tej pory tego nie zrobiłem.

- Powiedzieć? O czym? - Z wrażenia aż uniosła się na ramieniu.

- Archie Baldwin jest... moim dziadkiem.

- Archie? - Stacey nie posiadała się ze zdumienia. - Więc dlaczego mi nie powiedział? Myślałam, że jest moim przyjacielem. A ty tymczasem...

W odpowiedzi uniosł w górę jej dłoń i położył ją sobie na sercu, jakby chcąc w ten sposób przekazać wszystko, co teraz czuł.

- W tym ogrodzie spędziłem całe dzieciństwo. - Nie odważył się podnieść wzroku. - Czułem, że jestem tam... bezpieczny.

Na chwilę zapadła cisza, chociaż Stacey mogłaby przy-

siąc, że słyszy burzę myśli, która rozpętała się teraz w głowie Nasha.

- Dwadzieścia lat temu... - odezwał się ponownie - doszło do strasznej rodzinnej awantury. Miałem wtedy zaledwie trzynaście lat. Przy tej okazji padło wiele słów, które nigdy, przenigdy nie powinny być wypowiedziane. Wszystko się od tamtej pory zmieniło.

- Och, Nash, tak mi przykro - Stacey odezwała się cicho. - Zdarza mi się pokłócić czasami z Dee, ale wiem, że zawsze możemy na siebie liczyć.

- Kilka tygodni temu Archie wezwał mnie do siebie - kontynuował Nash. - Bałem się, że to może być ostatnie nasze spotkanie. Wiesz, jak bardzo jest chory.

- Wiem - poświadczyła cicho. - To ja znalazłam go w altance, kiedy stracił przytomność.

- Więc wiesz również, że uratowałaś mu życie... - Ucałował delikatnie koniuszki jej palców. - Jestem ci za to naprawdę wdzięczny. Nigdy bym sobie nie darował, gdyby...

- Już dobrze... - Z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. - Już dobrze.

- Kiedy spojrzałem na ogród po tych wszystkich latach... - słysząc było, że i jemu wzruszenie odbiera głos - odnalazłem w nim siebie. Nigdy nie zapomnę, jak Arnie chwycił mnie pod pachy i Unosił wysoko w górę, bym zerwał pierwszy dojrzały owoc z drzewka brzoskwiniego. "

„Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się jeść brzoskwinie

prosto z drzewa?", przypomniało jej się pytanie, które usłyszała chwilę po tym, jak ją pocałował. Teraz rozumiała już, dlaczego je zadał.

Trzymając ją w ramionach, wspominał jednocześnie najszcześniejsze chwile swojego życia... Wspominał swoje dzieciństwo, poczucie bezpieczeństwa i miłość, jakiej wtedy zaznał... Stacey wierzchem dłoni otarła łzę, która pojawiła się nagle w kąciku jej oka.

- A potem... Potem pojawiłaś się ty. Z chwilą, kiedy po raz pierwszy ujrzałem cię przeskakującą przez mur, poczułem się jak dawniej, jakbym się cofnął w czasie.

Może jest jeszcze za wcześnie na takie słowa? A może nigdy nie powinny one paść? Może rzeczywiście z Lawrence'em Fordhamem i jego pieniędzmi Stacey byłaby dużo szczęśliwsza?

Potrząsnął głową, jakby przekonując samego siebie. Taka była przecież prawda. I to od Stacey zależy teraz, jak potoczą się ich losy.

- Nash... - usłyszał jej szept. Kątem oka dostrzegł, jak odsłania kołdrę, ruchem ręki zapraszając go do środka.

- Stacey...

- Cii... nic nie mów. Po prostu chodź.

Koniuszkiem języka zwilżył spierzchnięte wargi. Pragnął tego, do diabła, pragnął tego ponad wszystko na świecie, lecz...

- Stacey, czy jesteś tego pewna?

- Nie bój się, chcę cię tylko przytulić.

Przytulić. Jasne. Ściągnął buty z nóg i położył się niepewnie obok niej.

Oparła głowę na jego ramieniu.

Promieniała ciepłem i jakąś niewysłowioną słodyczą, która sprawiała, że nie potrafił, nie chciał się jej oprzeć. Miał wrażenie, że jeszcze chwila, a jego rozpalone zmysły eksplodują, niszcząc wszystko, co jemu i Stacey udało się do tej pory wspólnie osiągnąć.

- Nash? - Zdaje się, że i Stacey przestraszyła się tak niespodziewanego obrotu spraw. - Czy nigdy nie masz zwyczaju ściągać skarpetek przed wejściem do łóżka?

A może jednak mylił się co do niej?

- Zwykle zdejmuję z siebie wszystko... - przerwał wyczekująco.

- Więc nie widzę powodu, dla którego teraz miałyby być inaczej. - W jej oczach zobaczył cień łobuzerskiego uśmiechu. - A skoro jesteś już na nogach, czy mógłbyś również wyłączyć światło?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Mamusiu! Mamusiu, wstawaj, już późno...

Stacey otworzyła jedno oko.

Promienie słońca przedzierały się bezlitośnie przez zaciągnięte zasłony, jakby na dowód, że cały świat od dawna jest już na nogach. Tuż obok łóżka stała jej młodsza córka.

- Późno? Jak późno? - Stacey podniosła się na przedramieniu, przecierając zaspane powieki. - Clover, gdzie jest zegarek?

- Tutaj. - Dziewczynka okrążyła łóżko i podeszła do nocnego stoliczka, stojącego w rogu pokoju. - Cześć, Nash! Jest kwadrans po ósmej, spójrz, mamusiu.

Kwadrans po ósmej? To rzeczywiście dosyć późno...

Nash?!!! Co do diabła!

Stacey, niemal zapominając o bólu, zerwała się z łóżka. Jak, do diabła, wytłumaczy to teraz swoim córkom?!

- Mamusiu..? - A zdaje się, że przynajmniej starsza z nich nie zadowolili się byle jaką bajeczką. - Jeśli Nash śpi teraz z tobą, to czy ja mogę zająć pokój na dole? Jestem już za duża, żeby mieszkać z Rosie.

Stacey przełknęła głośno ślinę. Właściwie było gorzej, niż się spodziewała.

- Porozmawiamy o tym później, kochanie. A teraz idź i obudź Rosie. Zaraz przyszykuję wam śniadanie.

Clover odwróciła się posłusznie na pięcie i znikła za drzwiami.

Spod kołdry dobiegł cichy chichot Nasha.

- Nie rozumiem, co cię tak śmiesz. - Stacey nawet nie próbowała ukryć pretensji w głosie.

- Nic - odpowiedział, nie przestając się uśmiechać.

- Nic, absolutnie nic. Może tego po mnie nie widać, ale jestem śmiertelnie poważny. Chyba nie masz powodów, żeby w to wątpić?

Niestety, była to jedna z rzeczy, w którą jakoś nie mogła uwierzyć.

Jedyne, czego teraz mogła być pewna, to to, że już dzisiaj cała szkoła dowie się, że Clover będzie miała nowego tatusia, a w niedługim czasie może i braciszka.

- Jeśli zaraz nie wstaniemy - zaczęła - to dziewczynki spóźnią się na zajęcia.

- W porządku, Stacey, ja się tym zajmę. - Nash podniósł się z łóżka, zasuwając jednocześnie suwak spodni i wciągając na plecy podkoszulek. - Nie ruszaj się z miejsca. Zaraz wracam.

I rzeczywiście. Po kilku minutach wrócił z filiżanką czarnej kawy, tostem i... szybkim buziakiem. To wszystko w dodatku zdążył zrobić, zanim jeszcze wyszedł odprowadzić dziewczynki do szkoły w miasteczku.

Z niemałym trudem, ale i z dużym samozaparciem Stacey zajęła się swoją poranną toaletą.

- Spotkałem Verę po drodze do miasteczka! - zawołał, kiedy tylko pojawił się ponownie w drzwiach. - Obiecała zajrzeć do ciebie, kiedy mnie nie będzie.

- Ależ Nash, mówiłam ci, to zupełnie niepotrzebne... Spójrz tylko, radzę sobie już całkiem nieźle.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Nie powinnaś się teraz nadwyręzać - dobiegło ją z łazienki. - Poza tym nie jestem pewien, kiedy wrócę.

- Jak rozumiem, nie będzie cię tylko kilka godzin? - zapytała z niepokojem, otwierając drzwi łazienki. Nash golił się.

- Być może wszystko przeciągnie się do popołudnia - odpowiedział z namysłem. - Zamierzam odwiedzić Archiego.

Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni miała okazję obserwować golącego się mężczyznę. A była to jedna z najbardziej zmysłowych i męskich czynności, jaką kiedykolwiek widziała. Niebezpieczna, intymna i... niezmiernie podniecająca.

- Nash! - odwrócił się w jej kierunku. - Dziękuję za ostatnią noc.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział znacząco. Schylił się, by przytulić ją delikatnie i ucałować, lecz zamiast tego zostawił tylko na jej czole mokry ślad piany. Wytarł go wierzchem dłoni. - Może dzisiaj ponownie spróbujemy?

- Chętnie - uśmiechnęła się zalotnie. - Ciekawe tylko, co na to Clover i Rosie?

- Zostaw to mnie. - Odwrócił się w stronę lustra, by dokończyć golenie. - Pomyśl lepiej, jak powiesz swojej siostrze, że zostaję.

- Zostajesz?

Ręka, w której Nash trzymał golarkę, zawisła w bezruchu. Spojrzał badawczo na odbicie Stacey w lustrze.

- A czy... chcesz tego? - zapytał tak cicho, że właściwie bardziej mogła się jego słów domyślić, niż je usłyszeć.

Tak, chciała. Prawdę mówiąc, pragnęła tego, jak niczego na świecie. Wiedziała jednak, że jeśli pozwoli mu zostać, w konsekwencji będzie oznaczało to tylko kolejne rozczarowanie. Nash odejdzie, a ona będzie cierpieła...

Zdaje się jednak, że oboje zaszli już za daleko, by teraz prowadzić jakieś głupie gierki.

- Tak - odpowiedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę łazienki. - Bardzo tego chcę. Ale powiedziałeś przecież kiedyś, że jesteś typem wiecznego wędrowcy, pamiętasz?

- Owszem, ale nawet wieczni wędrowcy dążą przecież do jakiegoś celu. Zdaje się, że właśnie odnalazłem swój.

Nie wiedziała, czy bardziej ma ochotę śmiać się, czy płakać. Wszystko nagle zaczęło wydawać się tak nierealne, że bała się, czy to nie sen, który dobiegnie końca, a ona znowu obudzi się w swoim wielkim łóżku sama i... samotna, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Przytulił ją do siebie mocno, jakby doskonale wiedząc, co dzieje się teraz w jej sercu.

- Nash?

- Tak?

- Czy mógłbyś pomóc mi dzisiaj w wieczornej kąpielu? - Kąćiki jej ust uniosły się wesoło ku górze. - Poczulałam się nagle dziwnie osłabiona.

Odsunał ją od siebie na odległość wyciągniętych ramion i zabawnie grożąc palcem, powiedział:

- Och, Stacey, zdaje się, że wiedziałabyś, jak usidlić nawet najbardziej zatwardziałego wiecznego wędrowca.

Zanim wyszedł, wziął ją jeszcze na chwilę w ramiona i przytulił mocno. Przez krótki moment zaczęła nawet obawiać się, czy nie oznacza to kolejnej rozłąki, ale w jego spojrzeniu odnalazła spokojną pewność.

- Będę chyba musiał zmienić swoje przyzwyczajenia - odezwał się, wkładając na głowę kask. - Czas pomyśleć o jakimś bezpieczniejszym pojeździe... i najlepiej dla czworga.

- Ależ Nash! - próbowała zaprotestować, ale z jej głosu przebijała bezgraniczna wdzięczność. - Nie musisz niczego zmieniać. Nie chcę, żebyś się zmieniał.

- Samo poznanie ciebie odmieniło mnie, Stacey, czy tego chciałem, czy nie. Reszty dokonała miłość...

Miłość, miłość, miłość, powtórzyła w duchu kilkakrotnie, jakby napawając się sensem tego magicznego słowa. Łatwiej było je wypowiedzieć, niż w nie uwierzyć.

Oprócz kilku fizycznych cech, które zafascynowały ją zaraz na początku, Nash w niczym nie przypominał przecież Mike'a.

Był dojrzały, odpowiedzialny, wiedziała, że może na nim polegać. Z Mikiem nigdy nie była pewna dnia ani godziny.

Przechadzając się leniwie po domu, z zadziwieniem odkrywała coraz to nowe ślady troskliwej opieki Nasha. Zreperowany zamek w drzwiach, działające światło w holu, półka w kuchni... rzeczy, na które Mikę jakoś nigdy nie potrafił znaleźć czasu.

Zdecydowanie nie byli do siebie podobni, on i Mikę. Dee nie miała racji.

Sposób, w jaki opiekował się domem, jak zajmował się nią, jak troszczył się o dziewczynki i jak... kochał się z nią wczorajszej nocy... Czule i delikatnie, bardziej chcąc dawać, niż brać.

- Stacey! - głos Very przywołał ją z powrotem do rzeczywistości. - Widziałaś?

- Wejść, proszę! - zawołała Stacey, przysiadając na oparciu sofy. - Co powiesz na filiżankę kawy?

Vera stanęła w progu. W rękę trzymała najnowszy numer „Maybridge Gazette”.

- A, to? Myślę, że nie warto nawet wspominać. - Stacey aż uśmiechnęła się na wspomnienie poniedziałkowego festynu.

Zza okna ich uszu dobiegł odgłos silnika. Na podjeździe pojawił się czerwony wóz Dee. Sama Dee zjawiła się pod drzwiami w ułamku sekundy.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?! - zawołała od progu. W rękę trzymała ten sam numer „Maybridge Ga-

zette", którym przed chwilą wymachiwała Vera. Zdaje się, że cieszył się on dziś wyjątkowo dużym zainteresowaniem w miasteczku.

- Ale, o co chodzi? - Stacey nie była pewna, którą z rewelacji może mieć na myśli jej starsza siostra.

- O Nashu Gallagherze, oczywiście.

Czyżby pisały o tym wszystkie dzisiejsze gazety?! Stacey poczuła na całym ciele dziwne mrowienie.

Dee szybkim ruchem rzuciła pismo na stolik przy sofie. Na pierwszej stronie, tuż obok zdjęcia Nasha, widniał spory tytuł:

„Młody Baldwin daje wykład na miejscowym uniwersytecie”.

- Więc?

- Nash Gallagher jest wnukiem starego Archiego Baldwina, nie udawaj, że o tym nie wiesz - rzuciła zniecierpliwiona Dee.

Prawdę mówiąc o tym, jakie nazwisko nosi Arenie, nie miała pojęcia aż do chwili, kiedy odwiedziła go ostatnio w szpitalu.

- I co z tego?

- I pozwoliłaś na to, żebym ja, w obecności świadków, nazwała go zwykłym stróżem?! - tym razem, zamiast zniecierpliwienia, w głosie Dee słychać było najprawdziwszą złość.

- Powiedziałabym raczej - Stacey z trudem odwróciła wzrok od zdjęcia, na którym Nash, w garniturze i białej koszuli, wyszedł wyjątkowo przystojnie - że to on pozwo-

lił ci się tak nazwać. Widocznie jest wyjątkowo skromnym człowiekiem, nie sądzisz?

- Archie to przecież miejscowy bogacz - Dee mówiła gorączkowo, z trudem łapiąc oddech. - Kiedy likwidował jedno ze swoich przedsiębiorstw, każdemu z byłych pracowników ofiarował część zakładowego majątku. Rozumiesz? Nie sprzedał, nawet nie wydzierżawił... Po prostu dał.

- To prawda, Stacey - odezwała się Vera, podając Dee filiżankę z kawą. - Moja matka pracowała kiedyś dla Baldwinów. Tak właśnie weszliśmy w posiadanie domu, w którym teraz mieszkamy.

Dee pokiwała triumfalnie głową.

- Co więcej - odezwała się ponownie - w gazecie piszą o tym, jak Archie Baldwin wydziedziczył swoją rodzoną córkę za to, że wyjątkowo podle traktowała syna. Podobno roztrwoniła cały swój majątek w czasach, kiedy Nash był jeszcze dzieckiem, o niego samego nie troszcząc się zbytnio.

- Archie Baldwin... - powtórzyła Stacey, jakby nadal nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała. - Stary Archie, któremu parę razy pomagałam w prowadzeniu ogrodu i którego potem znalazłam nieprzytomnego w jednej z altanek.

- Chcesz powiedzieć, że ten staruszek, którego czasami tu widywałam - wydawało się, że Dee może nie przeżyć kolejnej rewelacji - to Archie Baldwin?! Ten Archie Baldwin?!

- Nie, najwyraźniej było co najmniej dwóch starusz-

ków o identycznym imieniu, którzy prowadzili ogrody w tej okolicy - odezwała się Stacey z drwiną w głosie. - Oczywiście, że ten sam. A właściwie, co to za wykład?

- „Dr Nash Gallagher - zaczęła czytać Dee, rozkładając gazetę - wnuk Archiego Baldwina, wystąpi dzisiaj na uniwersytecie z gościnnym wykładem dla studentów biologii i botaniki. Ostatnie pięć lat dr Gallagher spędził na ekspedycji w Ameryce Południowej, zajmując się badaniem i klasyfikacją nie znanych dotąd gatunków roślin, z których część nazwana została jego imieniem". O, to jest ciekawe, słuchajcie: „Jak nas poinformowały wiarygodne źródła, dr Gallagher został również poproszony o objęcie katedry botaniki na Wydziale Nauk Przyrodniczych. Wydział został ostatnio dofinansowany przez niezwykle hojnego, anonimowego fundatora". Wiedziałaś o tym?

- Nie. - Stacey wyjęła gazetę z rąk siostry. - Zdaje się, że pan Gallagher oszukiwał również mnie. A w każdym razie nie powiedział całej prawdy.

Ciekawe, czy dotyczyło to również ostatniej nocy, do-dała w duchu.

Dee i Vera nie spuszczały z niej wzroku.

- Pomóżcie mi - odezwała się do nich tonem nie zno-szącym sprzeciwu. - Zamierzam natychmiast udać się na uniwersytet i dowiedzieć się prawdy u źródła.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - zapytała Dee ostrożnie.

- A dlaczego by nie? - Stacey najwyraźniej czuła się

oszukana. - Zechcesz mnie podrzucić, czy mam zawołać taksówkę?

- Podrzucę. Przynajmniej upewnię się, że nie popełnisz żadnego poważnego głupstwa.

- Głupstwa? Nash Gallagher pożałuje tego, co zrobił. To wszystko.

- Ależ Stacey... - Dee najwyraźniej diametralnie zmieniła swoje zdanie na temat Nasha. - Jestem pewna, że będzie potrafił ci to jakoś wytłumaczyć.

- Tak? Na przykład jak? - I nie czekając na odpowiedź, chwyciła za drewnianą laskę, którą przed kilkoma dniami podarował jej Nash. Ruszyła powoli do drzwi.

Gdzieś z kąta pokoju nieoczekiwanie wybiegł kot.

- Stacey, kochanie... - Otworzyła oczy. Tuż nad jej głową, w zielonym, szpitalnym kitlu, wpatrzony w nią wyczekująco, stał Nash. - Co się stało?

- Więc Dee nic ci nie mówiła? - Chłoneła jego kojącą bliskość. - Chciałam cię odnaleźć. Nie zauważyłam kota, który wpadł mi prosto pod nogi. Upadłam i... Właściwie nie pamiętam, co było potem.

- Chciałaś mnie odnaleźć? Przecież wiedziałas, że zaraz wracam.

- Tak, ale to, o czym chciałam z tobą pomówić, nie mogło czekać. - Westchnęła ciężko. - Prawdę mówiąc, miałeś sporo szczęścia. Gdybym wtedy dostała cię w swoje ręce, nie wiem, co by z ciebie zostało.

- Nie mów nic więcej - poprosił.

Jego głos emanował ciepłem i spokojną pewnością, że wszystko będzie dobrze. Mimo że się przed tym broniła, znowu poczuła się jak mała dziewczynka, która potrzebuje opieki.

- Jesteś świnia, Nash, wiesz? Wstrętną świnia. - Nie powinna, nie może przecież mu ufać! - Wierzyłam ci, oddałam całą siebie. Jak mogłeś mnie oszukać?! Jak mogłeś tak zawieść moje zaufanie? Nash?!

Otworzył usta, próbując coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu dojść do słowa.

- Widziałam dzisiejszą gazetę, widziałam twoje zdjęcie. Lepiej więc, żebyś od tej pory mówił prawdę. Całą prawdę, rozumiesz? - podkreśliła.

- Masz rację, kochanie, nie powiedziałem ci prawdy. Ale uwierz mi, ostatnią rzeczą, jaką chciałem osiągnąć, to zawieść twoje zaufanie. - Przytulił jej dłoń mocno do serca. - Z początku nie przyznawałem się, kim jestem, bo po prostu nie wydawało mi się to ważne. A później, czy ja wiem? Chciałem mieć pewność, że zależy ci wyłącznie na mnie, nie na milionach Baldwinów.

- Ależ to okropne! - wyrzuciła z siebie z niesmakiem.

- Masz rację, to okropne. Jednak mój ojciec poślubił moją matkę wyłącznie dla pieniędzy i...

- I przypuszczałeś, że gotowa jestem zrobić to samo?
- W jej głosie słychać było gorycz. Po chwili, jakby złożywszy w całość części skomplikowanej układanki, dodała: - To pewnie z powodu Lawrence'a? Myślałeś, że go-

towa jestem poślubić go tylko dlatego, że ma portfel wypchany pieniędzmi, czy tak?

- Musisz mnie zrozumieć, kochanie. Nigdy, przenigdy nie zaznałem od nikogo prostej, ciepłej, bezinteresownej miłości.

- Jak to, a Archie?

Zawahał się chwilę, nim odpowiedział.

- Archie kochał mnie tak, jak potrafił. Ale i on wykorzystywał mnie do swoich celów. Potrzebny mu byłem, kiedy chciał zemścić się na mojej matce. Zresztą i teraz, ta sprawa z ogrodem... Chciał, żebym został, ale i tej sprawy nie rozegrał czysto.

- Więc zostajesz? - zapytała, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

- Dziadek załatwił mi katedrę botaniki na uczelni. Nauczyciele nie zarabiają grubych milionów. Musisz wiedzieć, że tobie i dziewczynkom nie mógłbym wtedy zapewnić...

- Idź do diabła, Nash! Czy ja cię pytam o pieniądze? Ja pytam, czy zostaniesz? - Nagle poczuła się taka... bezsilna. Zmęczona tą nieustanną emocjonalną huśtawką, fałszami i prawdami, których nie potrafiła od siebie odróżnić. Zmęczona walką. Zamknęła powieki. - Odejdź, Nash. Chcę, żebyś wyszedł, słyszysz? I wróc dopiero, kiedy dorośniesz.

Wyszedł. I nie widziała go więcej.

Resztę tygodnia przeleżała w szpitalu, powoli dochodząc do siebie.

Kiedy już poczuła się na tyle dobrze, że mogła niemal swobodnie poruszać się o własnych siłach, poprosiła o wypisanie.

Dee zabrała wtedy ją i dziewczynki do swojego domku letniskowego nad jeziorem. Jej pomoc i świeże powietrze sprawiły, że Stacey z dnia na dzień czuła się coraz lepiej.

Co więcej, kochana siostrzyczka starała się, by jej serce nie krwawiło zbyt mocno i ilekroć któraś z dziewczynek zaczynała wspominać coś na temat Nasha, czujnie zmieniała temat.

- Więc jutro powrót? - odezwała się, podsuwając Stacey krzesło. - Co zamierzasz?

Co zamierza? A jakie to teraz mogło mieć znaczenie? Po tym, jak przegoniła ze swego życia mężczyznę, o jakim zawsze marzyła? Jakie znaczenie mogło mieć teraz cokolwiek? Bez sensu...

Niestety, w życiu nic dwa razy się nie zdarza, ono po prostu toczy się dalej.

- Właśnie, co do moich planów - zaczęła bez entuzjazmu. - W banku wymagają ode mnie sporządzenia biznesplanu. Wiesz, co to takiego?

- Musisz przekonać ich, że jesteś w stanie zebrać odpowiednią ilość pieniędzy na swoją inwestycję.

- Mam dom. Mogę pożyczyć pieniądze pod zastaw hipoteki.

- I równie łatwo możesz je stracić, kiedy interes z kwiatkami okaże się kompletną klapą.

- Wiem, Dee. Ale nie powinno się lekceważyć włas-

nych marzeń - odrzekła, przypominając sobie słowa Nasha i noc, kiedy je pierwszy raz usłyszała. - Masz może przy sobie telefon komórkowy?

- Proszę. - Dee wyjęła aparat z kieszeni.

Stacey, nie patrząc na siostrę, wykręciła numer Nasha. Po paru sygnałach zgłosiła się poczta głosowa.

- Cześć, Nash. To ja, Stacey. Nie sądzisz, że trzy pełne tygodnie to akurat tyle, ile może potrzebować trzydziesto-trzyletni mężczyzna, by dorosnąć? Wracam jutro do domu. Mam nadzieję, że i ty tam będziesz. Pa. - Nie patrząc na Dee, oddała jej słuchawkę.

- To, zdaje się, była część jakiegoś całkiem innego planu - odezwała się z uśmiechem Dee. - Teraz wracajmy może do interesów.

Połączyć się z pocztą głosową Nasha to było jedno, a wracać do domu, w nadziei, że on tam będzie, to zupełnie co innego.

Dee zakreśliła na podjeździe i zaparkowała tuż pod domem. Stacey rozejrzała się dyskretnie wokół. Nic. Nigdzie ani śladu Nasha. Dee otworzyła drzwi auta, podając jednocześnie siostrze rękę, by pomóc jej wysiąść.

- Czy mi się wydaje, czy dom wygląda jakoś inaczej? - Stacey spojrzała na nią badawczo. W progu stanęła Vera.

Cały dom, łącznie z ramami okien i starymi okiennicami wyglądał na świeżo odmalowany. Serce Stacey zamarło w oczekiwaniu na to, co odpowie Dee.

Czyżby to była sprawka Nasha? - przebiegło jej przez

głowę, chociaż dobrze wiedziała, że to niemożliwe. Jeden, nawet najbardziej zdolny i pracowity człowiek nie byłby przecież w stanie poradzić sobie z taką ilością pracy.

- Jacyś ludzie zjawili się tutaj w zeszłym tygodniu. Powiedzieli, że to w ramach rekompensaty za odszkodowanie, czy coś takiego... - odezwała się nagle Vera. - Ale nie martw się, cały czas miałam ich na oku.

- Całość wygląda chyba całkiem nieźle, co? - Dee najwyraźniej wiedziała na ten temat coś więcej. - Wchodzimy do środka?

Clover i Rosie natychmiast pobiegły sprawdzić, co dzieje się u kotków.

- Musisz pewnie czuć się wykończona po podróży? - Dee pomogła jej pokonać kilka stopni przed domem. - Co powiesz na to, żebym zabrała dziewczynki do siebie? Zjedzą z nami podwieczorek i jeszcze przed kolacją przywiozę ci je z powrotem, dobrze?

- Jesteś kochana... Prawdę mówiąc, marzę właśnie o chwili spokoju.

- W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać? - Vera również zbierała się do wyjścia.

- Tak, dziękuję wam obu. Możecie być spokojne, dam sobie radę.

Za oknem zawarczał silnik samochodu Dee i już po chwili zapadła błoga cisza.

Stacey weszła na górę. Otworzyła drzwi sypialni. Wszystko było w niej tak, jak wtedy, gdy...

Przed oczami ponownie stanęła jej postać Nasha.

Dlaczego cię tu nie ma, do cholery, nieomal krzyknęła. Poczowała, jak łzy napływają jej do oczu. Pewnie jesteś gdzieś w środku dżungli i naśmiewasz się właśnie z mojej głupoty. Idiotka, kompletna idiotka, podsumowała samą siebie.

Słońce kłuło w oczy ostrymi, popołudniowymi promieniami. Podeszła do okna, by zaciągnąć zasłony. Jedyne, czego teraz potrzebowała, to cisza i spokój.

Wyrzała na zewnątrz.

Zdaje się, że w ramach „rekompensaty za przyznane odszkodowanie”, firma zajęła się również ogrodem. Dopiero teraz dostrzegła, że ktoś skosił trawę wokół domu. Ale musiał to chyba robić już w kompletnych ciemnościach, bo trawa wystrzyżona była tylko miejscami. Od czasu do czasu pojawiały się wysokie, zielone kępy, które wyglądały jak... Jak napis, odkryła ze zdziwieniem.

„Stacey, kocham cię. Czy wyjdiesz za mnie?”

- Tak, tak! Nash, słyszysz? Tak!!! - krzyknęła ze wszystkich sił. Ale z dołu nie dobiegła żadna odpowiedź. Stacey otarła dłonią łzy, które popłynęły strumieniem po policzku. - Nash, gdzie jesteś?

- Tutaj - od strony drzwi dobiegł ją jego głos. - Tu jestem, kochanie. I nigdzie się nie wybieram.

Podbiegła do niego i z dziecięcą wprost radością zarzuciła mu ramiona na szyję, wtulając się w niego ze wszystkich sił.

- Gdzie byłeś, Nash? Tak bardzo za tobą tęskniłam...
- Łzy wciąż spływały jej po policzkach, ale nie dbała o to.

- Miałaś rację. Trzy tygodnie to wystarczająco dużo czasu na to, żeby dorosnąć. Prawdę mówiąc, zajęło mi to nawet mniej niż trzy minuty. - Przerwał na chwilę, by delikatnym ruchem ręki otrzeć jej twarz. - Ale chciałem przygotować dom na twój powrót. Na wypadek, gdybyś postanowiła mi odmówić.

- Wariat...

- To prawda, zwariowałem. Zupełnie zwariowałem na twoim punkcie. - Przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej i pocałował. Nie spieszył się. Wiedział, że od tej chwili cały świat i każda godzina należeć już będą tylko i wyłącznie do nich. - Ale jest jeszcze coś...

- Jeszcze coś? - zapytała niepewnie.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej niewielkie, aksamitne pudełko. Otworzył je powoli, jakby z wahaniem.

- Ależ Nash! - W środku lśnił przepiękny, ogromny diament. - Ja nie... Nie powinienesz...

- Jest czas, kiedy ofiarowuje się stokrotki i czas, kiedy wręcza się diamenty - przerwał jej. - Stacey O'Neill, czy wyjdiesz za mnie?

Wiedział, co usłyszy.

Brzoskwinie dojrzewały powoli w ciepłym słońcu. Ich woń roztaczała się kusząco po całym ogrodzie.

Nash uniósł Clover wysoko do góry, by zerwała pierwszy dojrzały, soczysty owoc. Następna była Primrose.

Kiedy już obie dziewczynki pobiegły przed siebie, każ-

da z brzoskwinią w dłoni, Nash chwycił w ramiona swojego syna. Chłopiec wyciągnął rączki w kierunku drzewa.

Dziecko miało piękne, miodowe oczy Stacey i płowe, lekko falujące włosy Nasha. Rodzice dali mu na imię Archer, po jego pradziadku.

Violet była jeszcze za mała, by jeść brzoskwinie prosto z drzewa. Siedziała na rozłożonym na trawie kocyku i bawiła się świeżo zerwanymi stokrotkami.

Stacey rozejrzała się wokół. Dzieci i kwiaty wydawały się być wszędzie, wypełniały cały ogród. Nigdy jeszcze nie czuła się taka szczęśliwa.

- Nash, a ty i mamusia? Nie będziecie jeść brzoskwiń?
- zapytała Clover ze zdziwieniem.

- Nie, kochanie. - Nash pogłaskał dziewczynkę po głowie. - Ja i mamusia zajmiemy się tym później.

Ich spojrzenia skrzyżowały się ponad głowami dzieci i tak, jak w dniu ślubu, była w nich obietnica miłości. Miłości aż do śmierci. Delikatnej jak stokrotki i wiecznej jak diamenty...